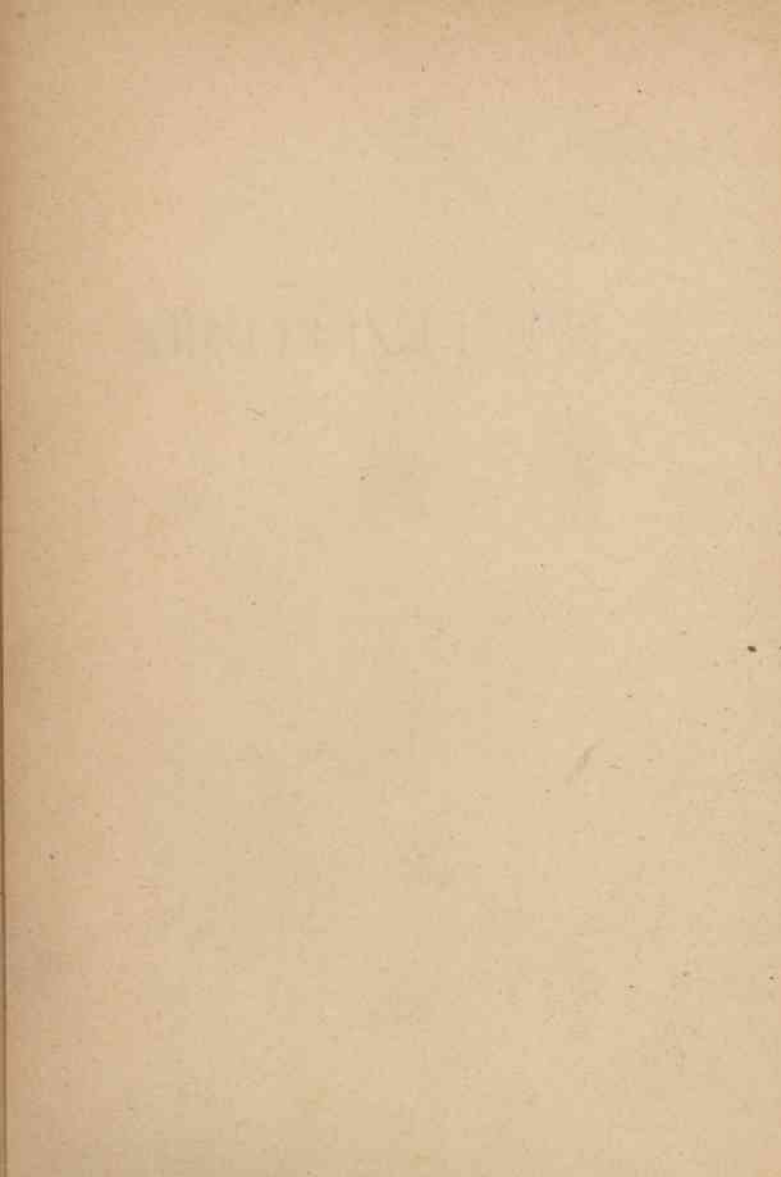


8-



2883 B

NA PRZEŁOMIE.



WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

(SELIM)

NA PRZEŁOMIE

NOWE WIERSZE

(1901 — 1911).

~~CF 5856~~



Bolesław Banach



BIBLIOTEKA SFINKSA

TOM VII.

WARSZAWA, POLNA 26.

1911.

A-11353



1000174396



Lub 13a

K.239/56/216



B 2883 ↓

PRELUDJUM.

*Mam duszę rozśpiewaną,
Jak struny złotych harf.
Gra w niej wieczorem, rano
Moc dźwięków, blasków, barw.*

*Śpiewa w niej cudna zorza,
Gra poszum starych drzew,
Zawodzą pól przestworza
Swój nieskończony śpiew.*

*Pieśń pracujących ludzi,
Daleki ptaków chór —
To wszystko w duszy budzi,
Jak w harfy strunach, wtór.*

*Śpiewa w niej wonna łąka,
Gra strumień pluskiem fal...
Lecz w pieśni wciąż się błąka
Tęsknota, smutek, żal.*

Tym żalem, tą tęsknotą
Brzmią echa łąk i pól.
I każdą strunę złotą
Przytłumia w duszy — ból!

W mej duszy rozśpiewanej
Brzmi nieraz dziwny śpiew,
Zda się — z serdecznej rany
Kroplami pada krew.

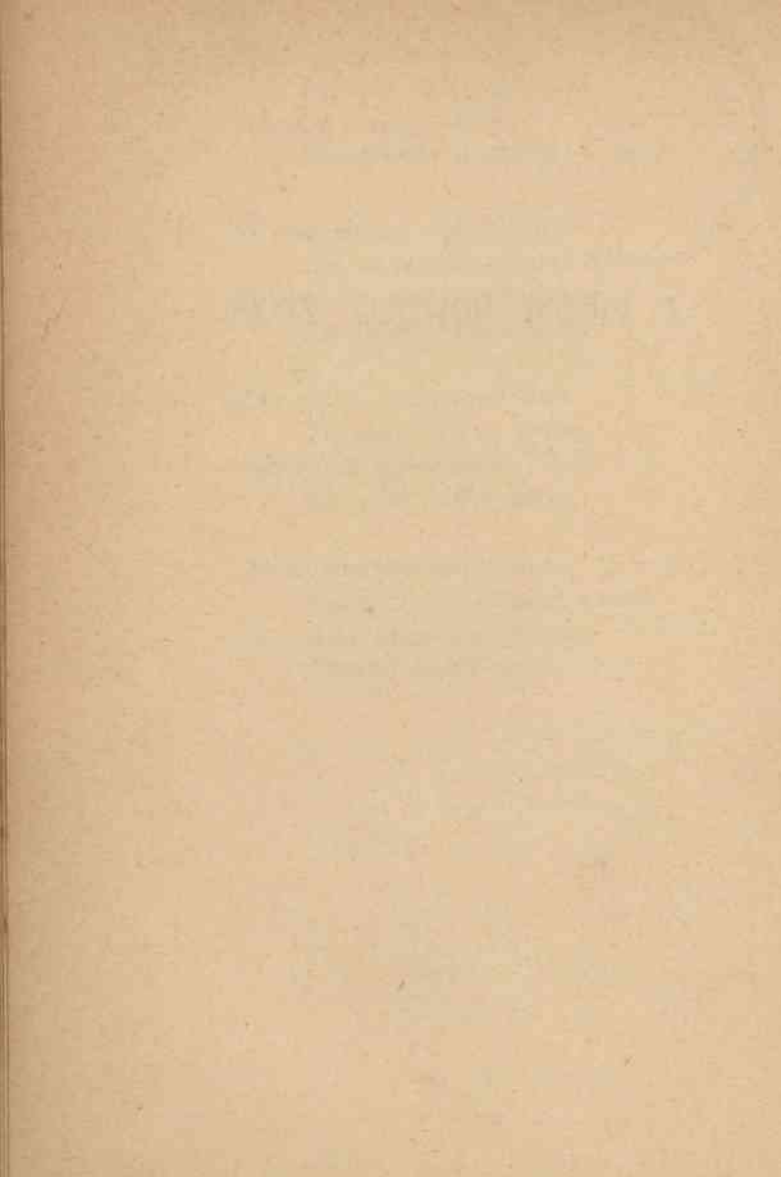
Zda się — jesiennych liści
Tumany lecą w świat,
Gdzie tyle nienawiści,
Łez tyle, bólów, strat.

Mam rozśpiewaną duszę...
Czas struny stłumić, czas!
Lecz dziś zaśpiewać muszę
Ostatni bodaj raz...



I

Z PIEŚNI NOWEGO ŻYCIA.



APOSTROFA.

Wy, którzy z lękiem myśl odpychacie
O szlakach nowych dla ducha dróg,
Spłońcie w niemego wstydu szkarłacie,
Nim obaw, zwątpień miniecie próg.

Są cele jasne, jak ten blask słońca,
Są drogi proste do złotych zórz.
Ten pyta, wątpi, liczy bez końca,
Kto na dnie serca ma nędzny kurz.

By człowieczeństwa znamię nieść godnie
I nie być jako żyjący trup,
Trzeba mieć w duszy własnej pochodnię,
Jak mojąszowy płonąca słup.

Trzeba się pozbyć nędznego strachu
I tych wybladłych, niepewnych lic...
Inaczej po was w Przyszłości gmachu
Zostanie godne pogardy—nic!

DO PRZYJACIÓŁ.

Precz smutek wszelki! Niech słońce Howerli
Jeszcze blask cudny roztacza nad nami!
Wszak czara życia przed nami się perli,
Więc nad poziomy, wzwyż! razem z orłami!
Precz pesymistów krakanie i wycie!
Młodziśmy duchem, więc—niech żyje życie!

Niech żyje życie! Niech żyje przyrody
Czar w każdej świata przepięknego stronie!
Niech żyje słońca blask wieczyście młody,
Niech żyje ogień, który w duszach płonie!
Niech żyje zapał, ten zapał, co budzi
Miłość dla świata i nią—łączy ludzi!

Niech żyje miłość, przecudna bogini,
Niech ramionami cały świat oplata!
Niech w duszach ludzkich wieczne cudy czyni,
Niech będzie panią i królową świata!
Łącząc kochanków serca, usta, dłonie,
Niech sieje kwiaty, i blaski, i wonie...

Niech żyją piękna niezrównane czary
W całej naturze, w każdej ludzkiej duszy!
Płomienie natchnień i fantazji mary,
I zapał, zapał, który gnie i kruszy
Wszystko, co pełza i czai się skrycie!
Młodziśmy duchem, więc—niech żyje życie!

NA HOWERLI.

Gdyśmy się wdarli już na szczyt,
Napół z zachwytu wniebowzięci,
Helleński o Olimpie myt,
Jak żywy, stanął mi w pamięci.
Dokoła— szereg cudnych wzgórz,
Gdzieś niżej szumią wodospady.
Za chwilę— zda się— w wieńcach z róż
Zabłyśną fauny, nimfy, drjady.

Za chwilę jasny słońca bóg
Na pozłocistym wozie stanie.
Już — zda się — słyhać jego róg,
Już dźwięczy harfy boskiej granie.
A z Febem-Apollinem wraz
Atene, Hermes, Afrodyta...
Powrócił mytów greckich czas
I w swe objęcia znów nas chwyta.

Więc na helleńskich bogów cześć,
Żyjących dziś już bez obiaty,
Wylewam z czary słodką treść,
Okrzyki wznoszę, szlę wiwaty.

Za strzałem nowy huczy strzał,
Tak czci poeta bóstwa stare,
By czar ich jak najdłużej trwał,
Nim dni powrócą blade, szare.

O Apollinie! Wystrzał ten
Chciej pierwszy przyjąć miłościwie,
I daj poecie piękny sen,
Błogosław cudnej natchnień niwie.
I jako Heljos złoty świeć
Nad ziemią nędzną, smutną, krwawą,
I ogień święty w duszach nieć,
Niech z serc—zapału tryska lawą!

Ten drugi wystrzał przyjąć racz
Ty, sówiooka Zeusa córo!
Twój to słyshałem świeżo płacz
Nad smętną Akropolu górą...
Mądrości boska, zstąp znów, zstąp
Na dzikie ludzkich spraw bezdroże,
I wzniesź świątyni taki zrąb,
Jakiego mroków bóg nie zmoże.

A ten ostatni tobie strzał
O Afrodyte, Cypru pani!
Ty, co miłości zsyłasz szal,
Którego z żywych nikt nie gani...
Od mej młodości pierwszych dni
Twój cudny posąg bluszczem mają,
Więc niech twój obraz wciąż się śni
I zachwyt, szczęście zawsze daje!

NA BRZEGU LASU.

Na cichym brzegu cienistego lasu
Liljowe dzwonki toną w słońca blasku.
Srebrne motyle, ich zwabione wonią,
Za upojeniem z kwiatu na kwiat gonią.
Dojrzewające żyto gnie swe kłosa,
Marzące w słońcu o djamentach rosy.

Po szmaragdowej, pełnej kwiatów drodze,
Samotny błędząc, w wonnej trawie brodząc.
Liljowych dzwonków snop zerwałem spory —
Miłosne lecą ptaków rozhowory...
Nad wszystkim—otęcz uniosła się złota,
Jak nad mą duszą—ta wieczna tęsknota.

PRZY LEŚNEJ DRODZE.

I.

Ległem przy leśnej drodze. Głogu i leszczyny
Gąszcz poplątany pnie się gdzieś po stokach wzgórza.
Z zarośli śle mi uśmiech błada, polna róża,
I nęcą granatowe, soczyste jeżyny.

Koń siwy, mej wycieczki towarzysz jedyny,
Szczypie trawę w wąwozie u góry podnóża.
Czasem zniknie za brzozą, to znów się wynurza—
Duma w słońcu, młodości wspominając czyny.

Dobrze mi. Twarz muskają pocałunki słońca;
Oczy me błękit pieści pogodny i czysty;
Jaskółka, nakształt szczęścia i miłości gońca,

Przemknie czasem nad głową dziwnego turysty...
A on—na traw kobiercu—w wonnym, cichym jarze,
Ma szczęście w duszy, w oczach — precudne
[miraże...

II.

Drogą, dwojaki niosąc, idą dwie dziewczyny.
„Niech będzie pochwalony“... Ach, na wieków wieki“.
Niech pochwalony będzie ten, co daje leki,
Na życia ból i duszę podźwiga z ruiny!

Niech będą pochwalone:—ten błękit daleki
I ta cisza kojąca spokojnej doliny,
Niech będą pochwalone te leśne gęstwiny,
Szum wiatru, oddech łąki, szmer pobliskiej rzeki.

Niech będą pochwalone te złote promienie,
Co z niebios szlą na ziemię pieszczoty gorące;
Niech będą pochwalone miłość i marzenie,

Woń kwiatów rozmarzonych w lesie i na łące,
Nawet ta biała chmurka na czystym błękitcie...
Niech będzie pochwalone cudne, boskie życie!“

RYCERZE.

Janowi Rembowskiemu.

Zawarłszy z burzą przymierze,
W cel święty wpatrzeni swój,
Wśród błyskań idziem—rycerze
Na bój, na wielki bój.
Zakłętej Królewny strzeże
Piekielnych potęg rój.
Chwytajmy miecze, puklerze --
Na bój, na święty bój!

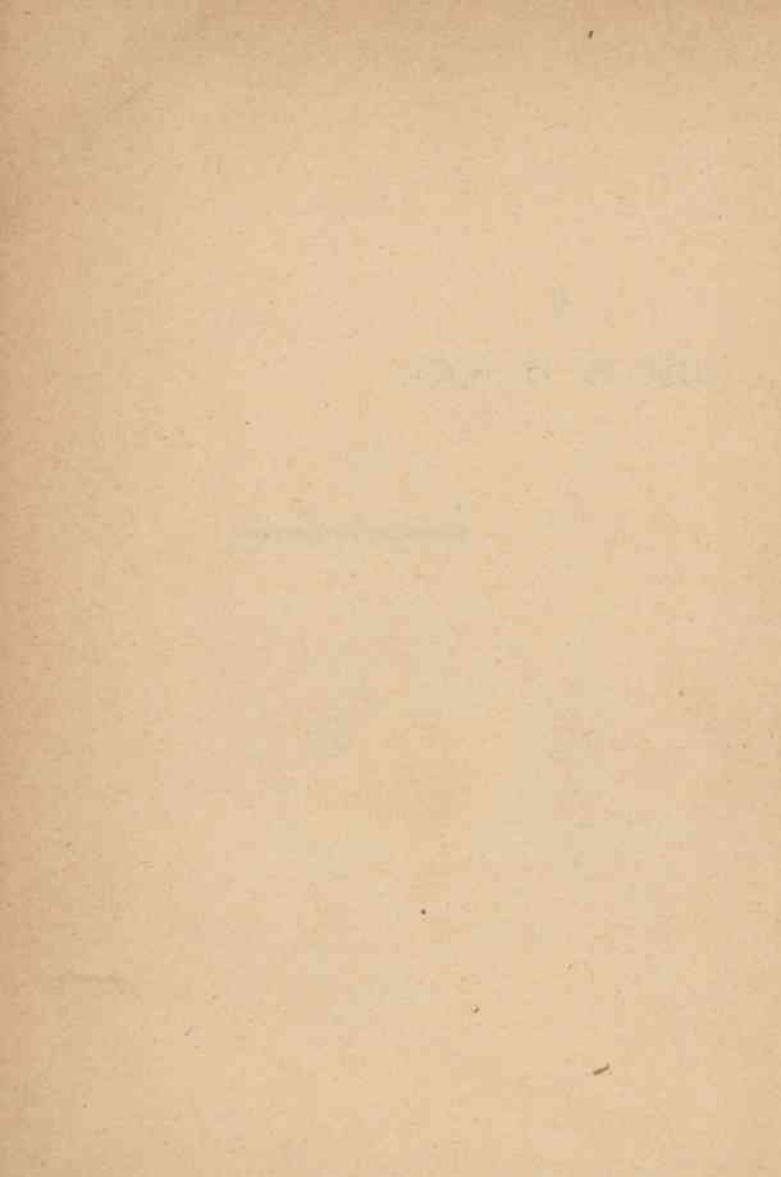
Przed nami dzikie bezdroża,
Przed nami pustyni znój,
Przed nami góry i morza,
Za niemi—zamek twój.
Królewno, już świta zorza,
Łzy otrzej i boleść kój...
Potęga wiedzie nas boża
W Idei święty bój!



II

OSOLIN W NOCY.

Stefanowi Żeromskiemu.



RUINY ZAMKU.

O kamienistą drogę podkowa uderza,
Mając po dniu świątecznym wieczorową ciszę.
Wtem—wynurza się zamku kanclerskiego wieża,
Arkady mostu, brama, okien puste nisze.

Wśród ruin ciemnych błądzi groźny cień kanclerza,
Odziany w pokutnicze, białe szaty mnisze,
I tym gruzom z rozpaczy bezbrzeżnej się zwierza,
A księżyc skargi jego piórem srebrnem pisze.

„Więc tak! Jak te ruiny, pełne nietoperzy,
Straszące dziś szkieletem umarłej świetności,
Runęło wszystko. W gruzach przeszłość dumna
[leży...

Gdzie król nasz? Sejm? Hetmany? Gdzie tłumy
[rycerzy?...

A chaty u stóp zamku, niby kmiecie prości,
„Kto żyje—zaszemrały—niech walczy i wierzy!“

NA GÓRZE ZAMKOWEJ.

Przez czerwony berberys, blade polne róże,
Usiłujące schwycić wędrowca za ramię,
Po stromej ścieżce pnę się na skaliste wzgórze
I zadumany siadam na gruzów odłamie.

Jak puszczyk, pośród ruin sprawujący stróżę,
Westchnienie ciężkie topię w żab grających gamie.
Brzmią muzyką ich stawy, strumienie, kałuże,
Tonące w wierzb—proporców wiejskich panoramie.

Hej! Nie takie orkiestry grały po tych błoniach,
Nie takie tu szumiały proporce, sztandary,
Nie tacy, jak dziś, jeźdźcy hasali na koniach!

I—przygnębiony—głowę chwyciłem rękoma...
A wtem szept dolatuje z poza baszty starej:
„Rozpacz — przedwczesna zawsze... Przyszłość—
[niewiadoma“...

ALEJA LIPOWA.

O kamienistą drogę uderza podkowa—
Ku domowi z pod zamku klacz moja zawraca.
Szumi poważnie stara aleja lipowa,
Błyszczy nad nią księżycyca brylantowa raca.

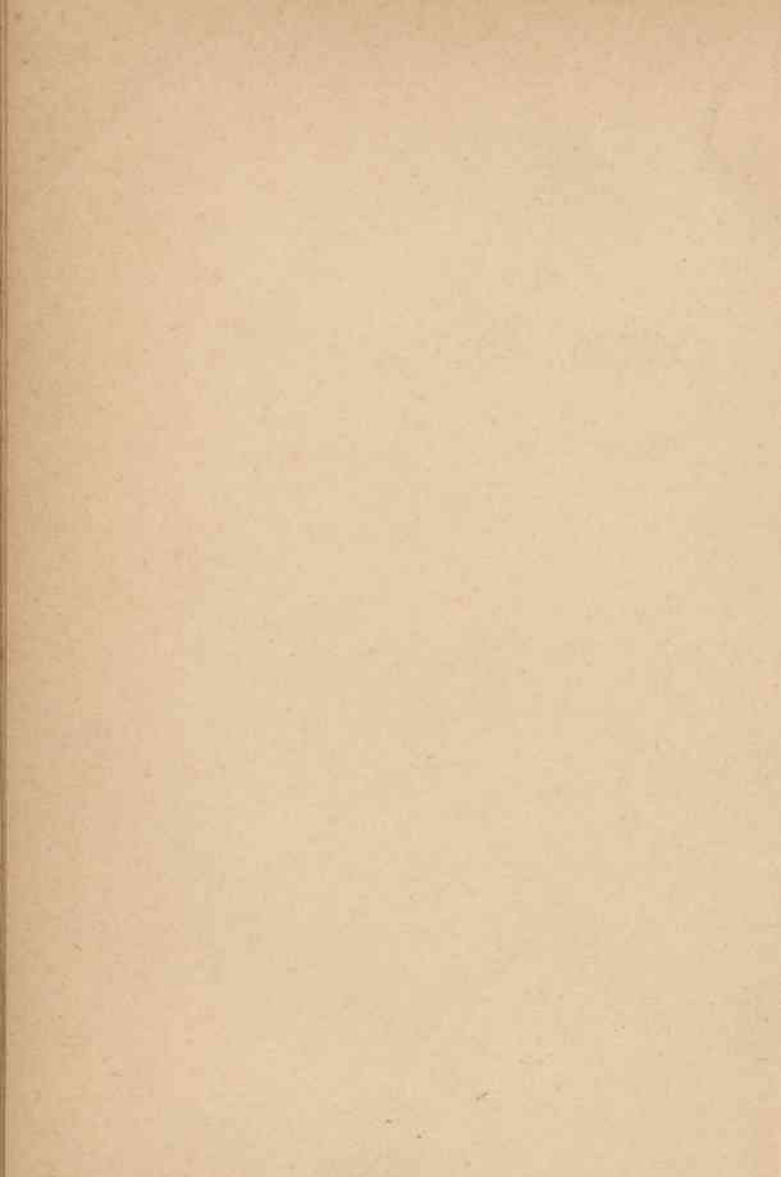
Wśród lip konarów, które srebrzy i wyłaca,
Lśnią w księżycowym blasku tajemnicze słowa
Run dziwnych. Treść ich zgadnąć—często—próżna
[praca,
Ale dzisiaj przejrzystą jest mi ich osnowa.

„Tysiąc burz—czytam w runach—te lipy przetrwały.
Siekły je deszcze, grady, biły w nie pioruny!
Blizn i szczerb szereg na nich dostrzeżesz niemały.

Co jesień w nich zaklętych skrzypiec płaczą struny,
Co zima je uśmierca tchnień północnych władza,
A wiosna—znów je budzi do życia, odradza...”

III

ŚWIĘTO WIOSNY.



I.

Zaszeptały, zaszemrały
Wierzby nad strugą
I gwarzyły przez dzień cały
Jedna przez drugą:
— Co za dziwy! Co za czary!
Ożył ciemny las,
Zazieleniał jawór stary
I pozdrawia nas!

— Co za czary, co za dziwy,
Któż pojąć zdoła!
W zieleni się kąpią niwy,
Kwiece dokoła.
Zaśmiało się do nas niebo
Blaskiem nowych zórz...
Hej, odpowiedz, czarna glebo,
Czy to wiosna już?

II.

Przeminęły zawieruchy,
Znikł marcowy szron.
Nowej wiosny jasne duchy
Uderzają w dzwon.
Płynię, leci przez bór głuchy
Przeradosna wieść,
By raz jeszcze cień otuchy
Ludzkim sercom nieść.

Zaśpiewały brzozom sosny:
— Siostry, stał się cud!
Zajaśniało słońce wiosny,
Precz wyгнаło chłód.
Powtarza ten śpiew radosny
Cały boży świat:
— Mamy święto nowej wiosny,
Jak ubiegłych lat!

III.

Skruszył, stargał zimy pęta
Młodej wody prąd.
Płynie, nie wie, nie pamięta,
Dokąd, ani skąd.
Z szumem, z hukiem rwać się będzie
Przepotężny wart,
Nie wstrzyma go w dumnym pędzie,
Nie wstrzyma sam czart!

Z hukiem, z szumem leci, płynie
Na zielonem tle.
Wiosna przezeń tej dolinie
Pozdrowienie śle.
Witają go młode pędy
Smaragdowych iw,
I brzmi hymn radości wszędy,
Śpiewa go—kto żyw!

IV.

Wystroiła się dziewczyna
Na ślub w welony...
Nie! To wiosna tkać zaczyna
Płaszcz swój zielony.
Roztoczyła nić pajęczą
Wkoło wierzbin,
Ogarnęła barwną tęczą
Góry, doliny...

Płacze dziewczę, roni łezki,
Idąc łąkami...
Nie! To wiosny płaszcz królewski
Świeci perłami.
Błyszczą w słońcu perły-rosy
Skrami srebrnemi,
Zbiera je pastuszek bosy
Stopami swemi...

V.

Idzie ścieżką pośród pól
Pastuszek bosy.
Swój serdeczny, cichy ból
Śle pod niebiosy.
Idzie ścieżką pośród pól,
Na fujarce gra...
Hej, pastuszkule, skąd ten ból?
Jaka dola twa?

— Wygnała mnie z chaty w świat
Macocho-dola,
Wyparł się mnie swat i brat,
Wygnał w pola.
Idę w zimny, głuchy świat,
Na fujarce gram.
Użali się moich strat
Chyba Pan Bóg sam...

VI.

Czemu stoisz na uboczu,
Kraśna dziewczyno?
Czemu z modrych twoich oczu
Srebrne łzy płyną, jak perły,
Srebrne łzy płyną?

Czy nie cieszy cię wiosenki
Cudne zranie?
Skąd ten smutek i te łęki
I płkanie to, dziewczyno,
I to płkanie?

Jak nie płakać, dobry panie,
Jak nie płakać mam,
Gdy mój miły, me kochanie,
Powędrował w świat daleki?...
Może zginął tam, mój panie,
Może zginął tam...

W świat daleki, w cudze strony,
W morze obcych głów
Wicher uniósł go szalony
Hen, za góry i za rzeki!
Czy go wróci znów, mój panie,
Czy go wróci znów?

IV

KARTKI Z PODRÓŻY.

POŻEGNANIE WARSZAWY.

Wędrowiec wieczny na szlakach żywota
Znowu cię żegnam dzisiaj, o Warszawo!
Zanim nad tobą błysnie zorza złota,
Zanim wschód smugą zapłoni się krwawą,
Znów za mną twoje zatrzasną się wrota
I klucz we wrotach warknie głucho, rdzawo,
Niby zgrzytliwe pożegnanie trumny,
Które nad grobem słyszy orszak tłumny.

A choć za nami nie zostają groby
I—da Bóg—trumien nie będzie przed nami,
Trudno się z tobą rozstać bez żałoby,
Trudno rozstania chwil nie zrosić łzami...
Ach, bo na świecie niema syna, coby —
Choć go nieznaną przyszłość nęci, mamie —
Łzy nie uronił na zmarszczone ręce
Matki, łkającej w pożegnania męcę.

Ty zaś, Warszawo, przez lat wiele matką
Byłaś mi, matką, która syny garnie,
A choć u stóp twych płakałem nierzadko,
To nie przez ciebie, lecz przez twe męczarnie,

Przez łzy, co lica twe zorały siatką,
Przez krew tę, którą wciąż broczysz—bezkarnie,
Przez pohańbienie twe i tę niedolę,
Której z nas każdy ma stygmat na czole.

Alpejskie szczyty witają mnie zdala
I czarem nęcą południowe morza.
Znów, zda się, szumi Adrjatyku fala,
Nad Akroplem znów śmieje się zorza,
Znów okręt morskie odmęty przewala,
Śródziemnomorskich fal prując przestworza,
I piramidy kłaniają się dumnie,
Z czterdziestu wieków wyżyn patrząc ku mnie.

Znajomy dawny znów dąży z pokłonem
Pod stopy wasze, faraonów córy!
Czym ja przeczuwał, że jeszcze przed zgonem
Zobaczę nieba waszego lazury?
Że znów stać będę z czołem pochylonem
Przed Sfinksem, który tajemniczo z góry
Popatrzy na mnie... Ach, i westchnie może:
„Patrz! I my jeszcze nosimy obroże!”

PRZECZUCIE.

I.

Fala za falą goni, goni
Po granatowej cichej toni,
A w duszy piosnka jedna dzwoni:
„Do niej już płyniesz, do niej, do niej“...

O brzeg skalisty fala trąca,
Granatu żaden cień nie zmąca,—
Niekiedy chmurka wędrująca
Mignie, jak w oku łąca paląca.

Przez granatowe, ciche wody
Do ciebie leci duch mój młody,
Do czarów tęskni twej urody,
Miłości pragnie i swobody.

Wtem słońce setki barw zapala...
Mieni się w blaskach modra fala,
Nakształt djamentu lub opala,
Którego żaden cień nie kala.

Płoni się niebo, morze płoni,
Jak narzeczona kochająca,
Gdy ją kochanek wita młody.

— — — — —
Skalisty brzeg czernieje zdala...

II.

Brzegiem błękitnej, cichej fali
Mknie smok z żelaza i ze stali.
Rybackie łodzie błędzą wdali,—
W blaskach się słońca morze pali.

Po drugiej stronie, pod lazury
Strzelają strojne w zieleń góry.
Oliwne gaje, winnic sznury,
Czasem—ptak błysnie srebrnopióry.

Przez lazurowe, ciche tonie
Samotne żagle wzrokiem gonię.
Gdy zwrócę oczy,—w drugiej stronie
Ruiny—w bluszczów, w drzew koronie.

W bluszczach się kąpie zamek stary...
Południe. Z nieba lecą żary.
Ach, pragnę pić, lecz z ust twych czary,
Wskrzesić minione sny i mary...

Tu żylibyśmy i kochali
Bez jednej troski, jednej chmury,
W uścisku splótszy usta, dłonie...

— — — — —
W dali zrąb skały sterczy szary...

III.

Za Apenińskie górskie szczyty
Skrzył się krąg słońca złotolity.
Przygasły blaski i błękity,
I dzień już spoczął, trudów syty.

Hen, gdzieś wysoko, na roztoczy,
Błysnęły gwiazd złociste oczy,
I miesiąc zwolna wóz swój toczy
Na ten gościniec przeuroczy.

Mnożą się w górze gwiazdne rotty,
Ku ziemi lecą skrzące grotty...
Na ten gościniec cichy, złoty
Wzbija się z duszy ptak tęsknoty.

Tyle miesięcy, ach—wiek cały
Me usta ust twych nie spotkały,—
Tyle miesięcy, ach—wiek cały
Me oczy twoich wyglądały.

Jak czarodziejski ptak ukryty,
Którego nigdy nikt nie zoczy,
Giniesz mi wciąż, ty śnie mój złoty...

— — — — —
Szukam cię... Wkoło—czarne skały.

W ZATOCE NEAPOLITAŃSKIEJ.

Ach, jak jasno, ach, jak cudnie

W tej zatoce w złoty dzień!

Co za czary, co za tony!

Dyjamentów lśnią miljony,

Aromatem tchnie południe,

Jak przedziwny szczęścia kwiat...

W czar tych blasków, w czar tych tchnień

Raz ostatni pogrążony —

Zapominam bólów, strat...

Życie zda się szczęścia chwilką,

Lazurowo-złotym snem,

Który dziwi, cieszy, wzrusza,

Który wstrząsa sercem mem...

Chwilę jeszcze widzę tylko

Sorentyński jasny brzeg

I dym nakształt pióropusza

Nad kraterem Wezuwjusza,

A za statkiem srebrny ścieg.

Cicha Capri niknie w dali,
 Jak prześniony morza cud.
Tyberjusza pałac biały
I Solara groźne skały
 Już spływają w otchłań wód.
Słońce grzeje, słońce pali,
Niby łabędź statek mknie...
A tu cichy szmer od fali
Leci: „Już po twoim śnie!“...

FONTANNA TREVI W RZYMIE.

W fontannie Trevi szum i huk,
Coś burzy się i kłębi.
Posejdon, morza jasny bóg,
Wyłynął z wodnych głębi.
Rumaki morskie ciągną wóz,
Z perłowych konch rzeźbiony,
Posejdon w jednej z boskich póz,
A przed nim—dwa trytony.

Fontanna Trevi huczy, wre
I szumi, jak kaskada.
Gdziekolwiek spojrzysz oko twe
Srebrzysty potok spada.
Z potoku czerpię wody zdroj
I piję z pełnej czary.
Za twą pomyślność, grodzie mój,
O Rzymie ty prastary!

Za twych marmurów ciemny ton,
 Za świątyń starych gruzy,
Za posągowych śnieżność łon,
 Za bogi twe i muzy.
Za kolumn twoich śmiały lot,
 Co w ptakach zazdrość budził
Za pracowników twoich pot,
 Za mury twe i ludzi.

A pijąc, soldy rzucam w toń,
 Ofiarnych uczuć godła,
By znów potężna losu dłoń
 Do ciebie mnie przywiodła.
Bo krąży w Rzymie stara wieść,
 Że, chcąc doń wrócić jeszcze —
Ofiarne soldy masz tu nieść
 I pić srebrzyste deszcze.

— — — — —

W fontannie Trevi szum i huk,
 Coś burzy się i kłębi.
Posejdon, morza jasny bóg,
 Wypląnął z wodnych głębi.
Rumaki morskie ciągną wóz
 Z perłowych konch rzeźbiony.
Posejdon w jednej z boskich póz,
 A przed nim—dwa trytony.

PRZEBIEGAM CIEBIE...

Przebiegam ciebie wzdłuż i wszerz,
O ziemio włoska!
A chociaż, jak swą zdobycz zwierz,
I tu dognała troska,
Nie jest mi źle wśród twoich pól,
Wśród twoich fal, wśród twoich wzgórz,—
Ty, jak kochanka, kosisz ból,
Więc żal cię rzucać już.

Cyprysy twoje ze mną wraz
Boleją zcicha.
Oliwny gaj, dębowy las
Swym szmerem ze mną wzdycha.
Kołysze mnie, jak matki dłoń,
Ten ruch błękitnych fal,
Upaja kwiatów twoich woń,
Więc cię porzucać żal!

Coś mi się marzy, coś się śni...
Twych ruin mowa,
Jak znana pieśń w mej duszy brzmi,
Daleka pieśń echowa...
Ach, tutaj nawet śpiewa pieśń
Strzaskanych kolumn kurz
I akweduktów starych pieśń,
Więc żal cię rzucać już...

Za kilka dni twój cudny brzeg
Z przed oczu zginie.
Powrócę znów do bólu rzek
W nieszczęsnej mej krainie.
Wśród walk tam piersiom braknie tchu,
Tam krwią rdzewieje stal...
Spoczynku chwilę miałem tu,
Więc cię porzucać żal!

W OBLICZU EGIPSKIEGO SFINKSA.

Na pół przez Seta złe podmuchy
 W szarzyźnie piasków zagrzebany,
Na rozgwar dni dzisiejszych głuchy,
 Nieczuły na swe własne rany, —
Choć blizn go zeszpeciło mnóstwo,
Spi Sfinks, kamienne słońca bóstwo.

Jak przed wiekami—przed nim toczy
 Swe ciche wody Nil prastary,
Jak przed wiekami — jego oczy
 Chce Egipt pieścić swymi czary,
Jak przed wiekami — z ziemi łona
Sto palm wyciąga doń ramiona...

On spi! Nie widzi i nie słyszy--
 Kamienne widmo bóstwa-króla.
Spi — pogrążony w głuchej ciszy,
 Którą pustynia go otula.
Skamieniał może z bólu, zgrozy,
Gdy Egipt — pętał wróg w powrozy.

I lepiej, że nie widzi wcale,
Co dziś — z przeszłości jego wielkiej,
I lepiej, że — podobny skale,
Wyzbyty iskry życia wszelkiej,
Nie czuje, jak mu w serce mierzy
Z angielskich dział najezdnic świeży. *)

Lecz przyjdzie dzień — ten dzień przyjść musi,
Może przez krwawe śmierci żniwo,
Gdy Sfinks — ten piasek, co go dusi,
Odrzuci, lwią potrząśnie grzywą
I — nowe życia czując dreszcze —
Odwiecznych pęt potarga kleszcze.

Bo mąk zużywa się narzędzie,
Zmartwychwstać — mogą nawet głazy,
A to, co żyło, żyć znów będzie,
Choć śmierć mu głoszą tysiąc razy!
I błysnie, błysnie chwila święta,
Gdy wszystkich Sfinksów — prysną pęta!

23/XII 1910 r. pod piramidą Cheopsa.

*) Działa angielskie, umieszczone na szczycie najwyższym cytadeli w Kairze, patrzą ponuremi paszczami na Kair i na pustynię — z piramidami i wielkim Sfinksem.

WRACAJ!

Edwardowi Abramowskiemu.

Gdzieś daleko szumi obce morze,
Jego fale błyszczą w słońcu złotem,
Jego fale — posłanniczki boże —
Dają tobie, strudzony wędrowcze,
Polecenie ciche, lecz stanowcze,
Byś do kraju wędrował z powrotem.

Gdzieś daleko góry w blaskach płoną,
Po ich zboczach liczne dzwonią stada.
Niżej — winnic purpurowe grono
Wabi ciebie, jak kochanki usta,
Która czeka, wesoła i pusta,
Pocałunki odwzajemniać rada.

Ale w pieśni, którą dzwonią stada,
Którą szumi wodospad z łoskotem,
Którą obcy gaj do ciebie gada,
Którą czytasz na niebie i ziemi,
Wypisaną zgłoski palącemi,
Brzmi wciąż rozkaz: „Do kraju z powrotem!”

Ach, tam w kraju słońce tak nie płonie,
Fala morska o brzegi nie trąca,
Mniej słodczy w purpurowem gronie,
Które nawet nie zawsze dojrzewa,
I swą zieleń tracą wcześniej drzewa,
I kochanka nawet — mniej gorąca.

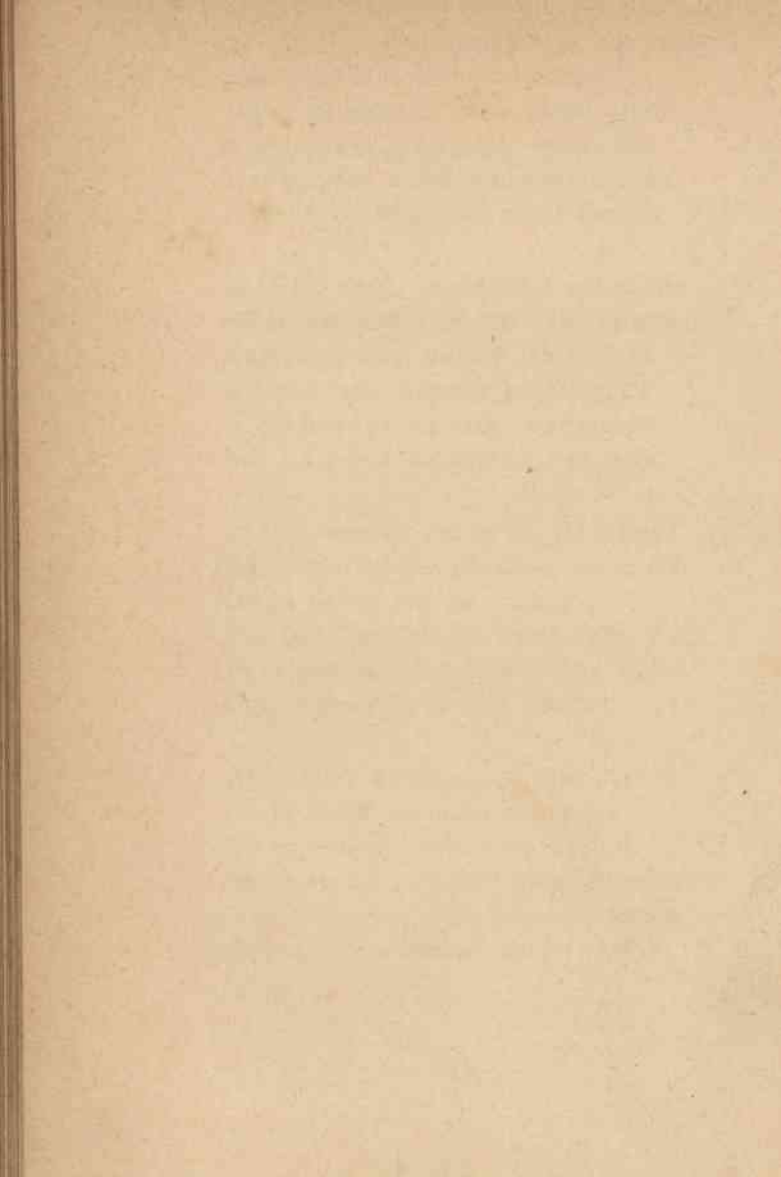
Lecz na ziemi, na niebie i wszędzie,
Gdzie się krok twój lub oko zatrzyma,
Kordjał dziwny rozlany tam będzie,
Który z raju zapewne pochodzi,
A ten kordjał wszystko wynagrodzi,
Gdy go pijesz — sercem i oczyma.

A więc wracaj, wracaj do tej ziemi,
Gdzie ten kordjał oddawna cię czeka.
On ją barwy odzieje cudnemi,
On, jak Eden, rozśpiewa ją całą,
Aż z podziwem spytasz, co się stało,
Gdy nanowo ją ujrzysz zdaleka.

Jak zaklęty kwiat-czar, kwiat paproci,
On ci duszę odmłodzi strudzoną,
On ci słońce przedziwnie wyłoci,
On ci szczęściem cały świat rozdzwoni!
Więc powracaj, więc powracaj do niej —
Gorycz, ból wyplakać na jej łono...

V

Z POWROTEM.



PRELUDIUM.

Śródziemnomorskie fale
Przerzyna okręt nasz,
A księżyc wciąż wytrwale
Nad morzem trzyma straż.

Morze się gniewnie miota,
Ryczy, jak w klatce lew,
Lecz światła smuga złota
Łagodzi jego gniew.

Nieście mnie, fale sine,
Nieście mnie z sobą w dal!
Jak brat wasz, z wami płynę,
Jak jedna z cichych fal...

Życie — to również morze,
Olbrzymie morze łez...
Ty jeden wiesz, o Boże,
Gdzie jego cel i kres...

ECHO DZIECIŃSTWA.

Bratu mojemu Józefowi
wzamian za serdeczny list Jego,
przysłany z Grebienikówki pod
Sumami do Heluanu pod Kairem.

Na tle błękitnem słońce się pali,
 Jak złoty niebios kwiat...
A kiedy z góry leje się złoto,
Ja szafirowej pozwalam fali
Huśtać tak siebie z słodką pieszczotą,
 Jak za dziecinnych lat.

Dużo burz wyło od owej chwili,
 Dużo płynęło łez,
Gdyśmy huśtawkę — chwilo radosna! —
W Górnym Ogrodzie z tobą robili...
Szumiały lipy, pachniała wiosna,
 Zakwitał biały bez...

Huśtawkę starsze robiły dzieci,
A w bieli dworskich ścian
W „pierwszym pokoju“ Matka coś czyta,
Przy niej gagatek bawi się trzeci,
Feliks zaś stary sprząta i pyta,
Czy z gumna wrócił *pan*.

I czy samowar dać wreszcie pora
(Grzał go już razy sześć!),
I gderze trochę, że to panisko
W polu od rana aż do wieczora,
Człek nie wie, gdzie jest: daleko, blisko
I kiedy krzyknie: „Jeść!“

W Górnym Ogrodzie lipy szumiały,
Jak dziś ta morska toń.
A szum ich grał mi, jak cudne dzwony...
Gotów go byłem słuchać dzień cały.
To znów na pole — z wiatrem w przegony —
Niósł mnie mój mały koń...

Pamiętasz kuca? Drobnym był wzrostem,
Lecz duże konie brał.
Pamiętasz Kottka? Ścigał się z nami,
Uczył nas pływać w „bełku“ za mostem,
Na harmonice grywał czasami,
Robił nam pęki strzał.

Pamiętasz ową nieboszczkę wronę,
Co z jego padła rąk?
Potem nas z sobą brał na szaraki...
Ach, pędzą lata, lata szalone!
Dzielne z nas jednak były chłopaki,
My dwaj i Gutek — bąk.

Bączek był, ale w Górnym Ogrodzie
(Wracam do niego precz!),
Gdzieśmy zacięte staczali boje,
„Książątko“ butnie biegło na przodzie,
Wznosząc zuchwale na pułki moje
Swój buntowniczy miecz.

A czasem nawet nasz pierworodny
Brał udział w walkach tych.
Pod kopcem—pomnę—pierzchł przed nim w trwodze
Z „czworaków“ zastęp ciurów niegodny.
Walczyli tylko mężnie dwaj wodzowie,
Na pewny idąc sztych.

Sam nie wiem, czemu—pisząc to—płaczę,
Czemu mi smutno tak...
Los dla nas nawet nie był zbyt srogi.
Tak! Lecz my obaj — wieczni tułacze,
I głowom naszym, Bracie mój drogi,
Cienia lip tamtych — brak!

5 stycznia 1911 r., na pokładzie egipskiego okrętu
„Osmanieh“, między Aleksandrią a Pireusem.

LIST DO NIEJ.

Ucałowałem trzykroć list,
Który do ciebie szlę!
Ucałowałem każdy znak...
Lecz wierz! Wolałbym pieścić tak
Twe usta, słodsze, niżli miód,
I oczy drogie twe.

Ucałowałem papier ten,
Ach, i niejeden raz...
Spełnić się musi cudny sen,
Który wciąż teraz mi się śni —
Jak kilka chwil upłyną dni,
Co dzielić mają nas.

Oto się do mnie śmieją znów
Wierzchołki greckich gór,
Oto mnie wita stary gród...
Już i Akropol błysnął mi —
Najczarowniejszy z ziemskich snów,
Do marzeń boskich wtór.

Otom już jego posiadał szczyt...
Tu, Boże, kochać daj!
Morze całuje stopy wzgórz,
Ciszy nie mąci żaden zgrzyt,
Partenon za mną, Nike tuż,
Dokoła — cudów kraj!

Ach, tu wraz ze mną musisz być
Promieniem, tęczę, skrå!
Stąd rzucę tobie złotą nić,
Ty mój uroczy śnie!
Albo jak Amor Psyche swą,
Na skrzydłach wniosę cię!

Lecz zanim błysnie słodki dzień,
Co znów połączy nas,
Rozstania czeka mrok i cień...
Do zobaczenia, droga ma!
Fijołków w liście szlę ci dwa,
Na okręt wracać czas!..

POŻEGNANIE.

Kochanko moja, ziemio grecka,
Rozstać się z tobą bezpowrotnie —
Ach, chyba fala by zdradziecka
Wciągnęła w głąbie moje ciało...
Jeśli żyć będę, wrócić muszę
Jąskółką lotną, wartką strzałą,
I znów mi pieścić będziesz duszę,
Jak już pieściłaś ją stokrotnie.

Kochanko moja, grecka ziemio,
Śmieją się cudnie twoje fale,
Całuje mocno słońce twoje,
Lecz—śniegiem zlekka przyprószone —
Snem dziwnym wzgórza twoje drzemią,
Chociaż widziały krwawe boje
I wiedzą, co to stać wytrwale
I czoła w jedną zwracać stronę.

Kochanko moja, ziemio grecka,
Do twoich wzgórz tęskniłem zawsze!
Widziałem ciebie już w snach dziecka,
Wpół przeczuwając chwilę ową,
Gdy losy dadzą mi łaskawsze
 Usłyszeć modrych fal twych łkanie,
I gdy Hellada, cudne słowo,
 Rzeczywistością mi się stanie...

Kochanko moja, grecka ziemio,
Poznać się z tobą niebezpiecznie!
Kogo twe czary nie oniemia,
Ten cię opiewać musi wiecznie
I wiecznie tęsknić już do ciebie...
 Przebywam morza, góry, knieje,
Lecz tej tęsknoty nie pogrzebię,
 Którą do duszy czar twój leje...

FALA.

Błękitna fala bez końca
 Łaskocze morskie wybrzeże.
Pod tchnieniem boskiego słońca
 W moc swoją miłość ją bierze.

Fala—uścisków spragniona,
 Jak rozkochana dziewczyna.
Brzeg jej roztwiera ramiona —
 I tak się romans zaczyna.

Nietrwałe ziemskie kochanie!
 Ostygnie ziemi wnet łono,
A fala wiecznie zostanie
 Uścisków, pieszczot spragnioną.

I dotąd będzie miłośnie
 Powtarzać zaklęć swych słowa,
Aż w brzegu o nowej wiosnie
 Miłość rozbudzi się nowa.

W WAGONIE.

List z każdej stacji bym ci słał,
Niby tęsknoty dzwon...
Coraz nas szerszy dzieli wał —
To życie, życie każe mi
Uciekać coraz dalej
Od tych czarownych, boskich stron,
Gdzie fala Nilu w słońcu lśni,
A słońce—mocno pali.

Ach, z każdej stacji słałbym list
Do ciebie, droga ma!
Wagonów stuk, maszyny świst
I życia podły, nędzny kłam —
Oto, co mi zostało. —
Życie na nerwach wściekle gra!
Dziwnie mi smutno... Wracam sam
Na wieczność, zda się, całą.

Ciągle mam w oczach postać twą, —
Nad brzegiem Nilu, pośród palm,
Z cichego bólu w duszy łą,
Z uśmiechem smutnym drogich warg,
Z zadumy pełnem czołem.

To znów brzmi w uszach morza psalm,
Tęsknoty pełen, pełen skarg...
Tu ze mną przybył społem.

Lecz palm daleko został cień
Z błękitem nieba, wonią róż,
Powietrzem, pełnem boskich tchnień,
Ach, i z tym blaskiem oczu twych,
Najdroższym mi na świecie...

Duszę mą znowu pokrył kurz —
Tęsknota, z jędz najgorsza złych,
Pierś swym ciężarem gniecie.

Jakżeż daleko tamten brzeg
I jego barwny płaszcz...
Patrzę z wagonu: gruda, śnieg
I smutek nagich, głuchych pól,
I szare mgły dokoła.

„Zawracaj!”—z setek strasznych paszcz
Krzyczy tęsknota, wyje ból,
„Zawracaj!” serce woła...

TCHNIENIE OJCZYSTE.

O ciemne świerki, jodły i sosny
Ojczystych moich stron!
Powracam do was z krainy włosny,
Gdzie pomarańcza teraz dojrzewa,
Gdzie palma daje plon.

Jeszcze w mej duszy smętny hymn śpiewa
Ostatnia z morskich fal.
Jeszcze mi szumią te cudne drzewa,
Co do piramid świeżo nas wiodły,
Rozstania kojąc żal.

Aż oto wasze słyszę znów modły,
Widzę wasz świeży śnieg,
I z rozrzewnieniem witam was, jodły,
Witam was, świerki, witam was, sosny —
Powracający zbieg!

Choć kołysały mnie morskie fale,
Pieściły palmy wzrok,
Obraz wasz w drodze ścigał mnie stale, —
I teraz znowu witam radosny
Wasz miły sercu mrok.

I już mniej żal mi Nilu wybrzeży,
Przybranych w gaje palm,
Odkąd poczułem wasz powiew świeży,
Odkąd mnie doszedł za Ziemię naszą
Wasz nieustanny psalm.

Już bohaterów błysły mogiły,
Widzę już Kraków mój!
Nowe do duszy wpływają siły...
Zdrowie twe, Ziemi, twej wody czasą!
W niej nowy życia zródź.

12 stycznia 1911 r., dojeżdżając do Krakowa.

DOBRANOC!

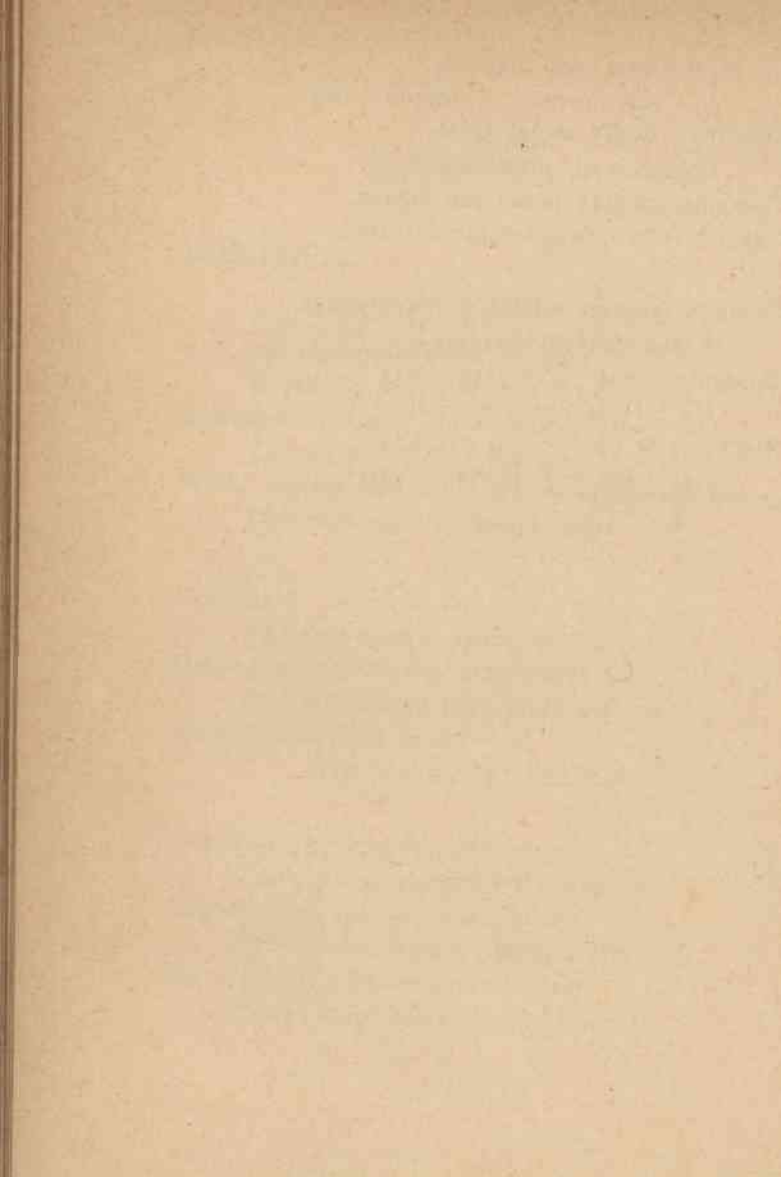
Ach, tak niedawno byłaś ze mną,
A już cię widzę w wspomnień mgle...
Szarpałem z losem się daremno,
Tak smutno było i tak źle!
Wciąż smutek trwa... Lecz w przestrzeń ciemną
Dobranoc dziś ci, droga, szlę!

Dobranoc! Niech ci sny, jak kwiaty,
Pogodną zawsze niosą wieść...
Niech cię kołysze sen skrzydlaty!
Pod tchnieniem jego pieść się, pieść
Melodją nocy, jak przed laty,
Nim ją zmaciła życia treść.

Dobranoc! Płyną dni, jak wieki...
Zazdroścę ptakom lotnych piór!
Leciałbym z nimi w świat daleki
Przez mórz odmęty, szczyty gór...
Na brzeg bym leciał świętej rzeki,
Dokąd szlę dzisiaj życzeń chór.

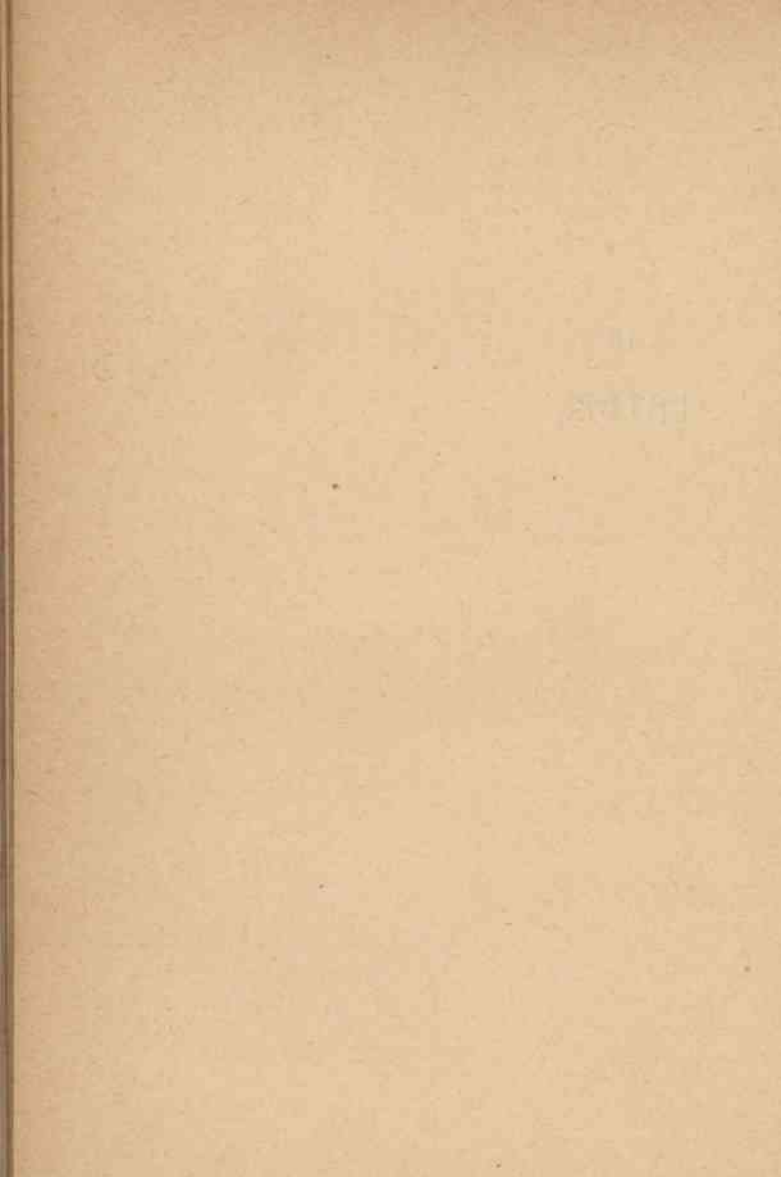
Bo życie ciśnie swą obręczą,
A z losem złym — daremny bój...
Dobranoc, duszy mojej tęczo,
Dobranoc ci, promieniu mój!
Tęsknota, smutek mniej już dręczą,
Gdym w serca twego spojrział zdrój.

Dobranoc rzucam gdzieś w przestworza,
A sen opuścił oczy me...
Dobranoc, choć już błyska zorza
Na niebios naszych szarem tle.
Niech cię w opiece moc ma boża —
Raz jeszcze ci dobranoc szlę!



VI

LATEM.



O ZACHODZIE.

Krzyk gęsi słyhać z pobliskich wzgórz,
Drożyną wiejską, podnosząc kurz,

Wracają z pastwisk krowy.

Słońce się kładzie w posłanie z róż,
Spoczynek, wieczór nadchodzi już,

Przeminął dzień lipcowy.

W wieczorny płaszcz się otula park.

Wśród drzew umilkły odgłosy skarg,

Do snu je zmrok kotysze.

Troska i z ludzkich zsuwa się bark,

Westchnienie leci z zbolątych warg —

O ducha błogą ciszę.

Ach, dość już bólów, cierpień i zrad,

Dość nienawidził już brata brat,

Dość życia w gorzkiej męce!

Z poza tych strasznych, więziennych krat

Westchnienie leci w daleki świat,

Do szczęścia rwą się ręce.

A ono wiecznie ucieka tak,
Jak przed człowiekiem pierzchliwy ptak,
Co piosnkę cudną dzwoni.
Czasem tajemny błysnie nam znak,
Pędzimy dalej, choć sił już brak,
Giniemy w tej pogoni...

CISZA NOCY.

Znów w mistycznym świetle toną
Drzewa, stawy, łąki, pola...
Nad świerkami aureola —
Srebrny księżyc z swą koroną,
W niej świerk każdy — niby święty,
A na niebie gwiazd djamenty.

Lazur błyszczący promieniście, —
Cisza srebrna, a wśród ciszy
Żadna, zda się, pierś nie dyszy,
Nawet brzoź nie szepcą liście,
Nawet w rzeczce, lśniącej w dali,
Nie zaśmieje się plusk fali.

Serca bicie człowiek słyszy...
Czasem tylko gdzieś zdaleka
Zapóźniony pies zaszczeka,
Budząc wtór swych towarzyszy.
Ptak zakwili pośród łąki
Lub zamienią hasła bąki.

I znów cisza brylantowa,
Tajemnicza, niezmacona.
Pieśń mistyczna brzmi wśród łoża,
Lecz się nie da zawrzeć w słowa.
Bezpośrednio z duszy płynie
Ku gwiazd złotych wszechkrainie.

Niby anioł srebrnopióry,
W dal gdzieś taka pieśń ulata
Poza ziemskie kręgi świata,
W te etery i lazury,
Skąd nieznaną potęgą władza
Byt i treść jej wyprowadza...

ŚWIT.

Perłowy świt, perłowy świt!

Już noc ucieka blada...

Derkacza z łąk dochodzi zgrzyt,

Przepiórka odpowiada:

„Żać pójdźcie, pójdźcie żać!”

Różanopalca zorza znów

Wschód wyłociła szary.

Swym czarem do mnie, zorzo, mów,

A pić daj z życia czary —

I — pozdrowiona bądź!

Z domowych ptaków pierwszy kur

Wschodzące słońce wita.

Z za mórz wróciła i z za gór

Dnia gwiazda złotolita.

O słońce, witaj nam!

Do pracy zapał nowy krzesz
W tych, którzy tobie wierni.
Opromień drogi ludzkich rzesz,
Gój ślady walk i cierni,
Do złotych prowadź bram!

Ostatni nocy pierzchnął cień,
Gdy dnia zabłyśły gońce.
Świt się zamienia w cudny dzień
Pod tchnieniem twem, o słońce!
Dniu nowy, witam cię!...

Choć wiem, że niesiesz trud i znój,
Pozdrowion bądź, dniu nowy!
Do nowej walki duch już mój
Nanowo jest gotowy,—
Zapałem pierś znów tchnie!

POŁUDNIE.

Lipcowe słońce ziemię opromienia cudnie
W upalne, wonne, złotem kąpiące południe.
Bujne życie na chwilę zamiera dokoła,
Przyroda cała, zda się, o spoczynek woła.

Strudzony wieśniak, pszenne swe rzuciwszy żniwo,
Wyciągnął się znudzony pod płaczącą iwą,
Co w kryształach sadzawki kąpie swe ramiona,
Ujęte w sieć zieloną, jak wschodnia zasłona.

I mnie toń srebrna stawu niech w ten upał chłodzi!
Poruszam zwolna wiosłem i płynę na łodzi,
Wysepkę okrążając, zielenią porosłą,
A srebrnołuskie karpie straszy moje wiosło.

Jak pierzchliwe delfiny, przez okręt spłoszone,
Uciekają gdzieś—w stawu spokojniejszą stronę,
By znów kąpać się w słońcu, toń wody pruć gładką,
Nim ją rybak zamąci swą zdradliwą siatką.

Porzucam łódź, w ogrodzie kryję się gęstwinie,
Lecz i tu słońce... W słońcu dojrzałe brzoskwinie
Zwieszają się z gałęzi, soczyste, różowe.
Zrywam je. Chodź, jedyna! Przyjmij plonu
[połowę...

W SREBRZE MIESIĄCA.

Noc. Umilkłyienne gwały,
W gwiazd orszaku miesiąc lśni.
W śnie pogrążył się dwór stary,
O ubiegłych czasach śni.

Na wzgórz stoku, w srebrną ciszę
Zasłuchany, duma park.
Jego tchnieniem i ja dyszę,
Czarną troskę spędzam z bark.

Cisza. Tylko szepczą drzewa
I lipowy pachnie kwiat,
Tylko w duszy mej rozbrzmiewa
Jakieś echo dawnych lat.

Cisza. Tylko gdzieś — na dole —
Drgnie na fali biała łódź...
Precz, zwątpienia, troski, bole,
Zbudź się, duszo moja, zbudź!

Choć młodości zblakły tęcze,
Niech powróci dawna moc,
Jak wracają sny młodzieńcze
W taką cichą, srebrną noc...

BARKAROLA.

Wiosło łagodnie tak
 O falę trąca,
Kąpie się ciemny staw
 W blaskach miesiąca...
Łódź moja srebrną toń,
 Jak łabędź, pruje.
Dzwoń, piosnko moja, dzwoń,
 Dzwoń, piosnko moja!

Sploty nadbrzeżnych wierzb
 W brylantach rosy
Spływają w srebrną głąb,
 Jak dziewic kosy.
Jak rusalczany krąg,
 Chwieją się brzozy,
Końcami srebrnych rąk
 Sięgając wody...

Wyżej w konarach lip
Tonie me oko.
W powietrzu płynie woń
Falą szeroką.
Dogania łódkę mą
Na wodnej fali,
Choć wiosła same prą
Dalej i dalej.

Lecz moja cicha łódź —
Srebrna lilija —
Do ciemnej wyspy swej
Zwolna dobija.
Do portu czas ci już,
Samotna łodzi!
Na sen — za zbocza wzgórz —
Miesiąc zachodzi...

VII

ECHA BURZY.

NAPRZÓD!

Naprzód! To jedno hasło przedemną!
Naprzód, ach naprzód! Wspólnemi siły
Sto słońc zaświecimy, gdzie dotąd ciemno,
Do życia zbudzimy martwe mogiły!
Oto pękają odwieczne lody,
Oto błysnęło słońce swobody,
Do której tęskni i dąży świat
Przez morze cierpień — tysiące lat.

Naprzód! Przed nami jutrzienka świeci,
A pieśń zwycięstwa huczy w przestworze.
Gdy razem ludu zmierzają dzieci,
Jakaż ich siła powstrzymać może!
Oto już płoną blaski dokoła,
Których dech trupi zgasić nie zdoła,
Mrok i niedola znikają już —
Przed nami tryumf świtów i zórz!

Jak nietoperze, kryją się w dali
Dnia wczorajszego czarni prorocy.
Walczyli z nami, przeciw nam stali
I uznać naszej nie chcieli mocy.
Choćby się skryli w najgłębsze ciemnie,
My ich odnajdziem, wszystko daremnie,
Znajdzie ich zawsze pogarda mas,
Co pójdą z nami i pojną nas!

Naprzód przez głogi, naprzód przez ciemnie!
Jasno wytknięte widzim swe cele.
Przy hasłach naszych stać będziemy wiernie —
Przyszłości gońce i krzywd mściciele!
Jedna już tylko niedługa chwilka,
Już tylko kroków przed nami kilka...
Synowie nowych, płomiennych zórz,
Do celów świętych dochodzimy już!

Warszawa, 31 października 1905 r.

HOLD.

Gdy nam wolności błysły zorze,
Gdy nas podnosi dobra wieść,
Tym, którzy padli, rwąc obroże,
Tym, bracia, dzisiaj dank i cześć!

Ich mogił pełne są cmentarze
Aż do jakuckich śnieżnych pól.
Zabiły jednych ręce wraże,
A innych nędza, rozpacz, ból.

W Idei gwiazdy szli wpatrzeni,
Wierzyli w wyzwolenia cud —
Choć katowani i więzieni,
Zginęli z hasłem: „Wolność, Lud!“

Gdy mury chwieją się więzienne,
Gdy grzmi zwycięski ludu śpiew,
Składamy dziś Im kwiaty cenne:
Ostatnich Męczenników krew!

Warszawa, 2 listopada 1905 r.

NOWE ŻYCIE.

Nie narzekajcie dziś na srom,
Na hańbę swą i poniżenie,
Wy, coście spali, gdy płomienie,
Niszczyły zadzumiony dom.

Nie narzekajcie, że wasz brat
Pogardzać tylko może wami,
Wy, którzy wzdargę zdobyć sami
Staraliście się tyle lat!

Gdy lud przyszłości wznosił gmach,
Swą krew, swe trudy niósł w ofierze,
Nie za nim wasze szły pacierze,
Lecz dziś wam gniewu jego strach.

Gdy, do wolności bijąc bram,
Bojowy sztandar szumiał w górze,
Po norach kryliście się — tchórze!
Więc dzisiaj — hańba, hańba wam!

A gdy swobody cudny ptak
Zakrwawił w walce śnieżne pierze,
W obłudy masce, o szalbierze,
Zwalczaliście nasz święty ruch.

Wysiłki próżne, górą lud!
Na szańcach brzmia już nowe hasła,
I trzoda cofa się opasta —
Nie wstrzymać wam dziejowych wód!

Skończona droga wasza już!
Zasługi wasze, wielkie czyny
Znać będą synów waszych syny,
Nim je pokryje wieczny kurz.

Bywajcie zdrowi! Nadszedł czas!
Już grzmi potężne dziejów słowo:
Lud rozpoczyna erę nową,
A wam zapląta — wzgarda mas!

Warszawa, 5 grudnia 1905 r.

VIII

ZA KRATA.

W WIĘZIENNEJ CELI.

Do więziennej, dusznej, ciemnej celi

Dotarł fijołków i konwalji pęk,

Na swych płatków granacie i bieli

Przyniósł wiosny, nowej wiosny wdzięk

I na chwilę rzucił w mrok więzienia

Wonie, blaski, czary, upojenia.

I powiedział zamkniętemu w grobie,

Że tam jednak, z tamtej strony krat,

Ach!—nie wszystko w mroku i żałobie,

Że tam błyszczący, pachnie cudny świat,

Że tam wiosna nowe życie budzi

W łonie ziemi, drzew, kwiatów i ludzi.

Nową pieśnią szumne rzeki dźwięczą,

I las nuci nowy życia śpiew,

W świeżą zielen, jak w siatkę pajęczą,

Otulone — śnią konary drzew,

Śnią o takiej wiosnie sen uroczy,

Która skrzydła na zawsze roztoczy...

Lecz tych marzeń echo nie dolata
W mrocznej celi duszny, ciasny grób...
Może zimna odstrasza je krata,
Może głuchy huk soldackich stóp,
Co, miarowy, twardy i ponury,
O więzienne obija się mury.

Na wolności pocałunków groty
Słońce ziemi rozmarzonej śle,
Tu — ukradkiem tylko promień złoty
Na tych murów szarych błysnie tle,
Zajrzy czasem ostrożnie zdaleka
I na wolność, jak ten ptak, ucieka.

I mrok celę więzienną ogarnia,
Coraz większy, coraz gęstszy mrok...
A w tym mroku wzmaga się męczarnia,
Słysząc więźnia gorączkowy krok...
Coś go szarpie, coś go w sercu boli,
Jak lew w klatce, miota się w niewoli.

Noc opończę czarną rozpościera,
Nie dochodzi żadne z wiosny tchnień.
Lecz — nadejdzie nowa życia era,
Lecz zabłyśnie innej wiosny dzień!
On więzienne kajdany pokruszy,
Nowe blaski wydobędzie z duszy.

Do więziennej, dusznej, ciemnej celi
Dotarł fijołków i konwalji pęk,
Na swych płatków granacie i bieli
Przyniósł wiosny, nowej wiosny wdzięk
I na chwilę rzucił w mrok więzienia
Wonie, blaski, czary, upojenia...

KWIATY.

I

Do mej celi codzien wlatą,
Niby motyl, barwny kwiat,
Szepcząc: „Ciebie więzi krata,
Tam się wiosną śmieje świat!“

Po fijołkach wpadły róże,
Dziś konwalje, wczoraj bzy, —
Z barw ich, woni—przyszłość wróżę,
Lecz na kwiatach—łzy i łzy...

II

Gdym zasypiał, na mych ustach
Spoczywała róża wonna,
Pocałunki me przyjmując,
Jak Ty, cicha i bezbronna.

Gdym zasypiał, byłem pewien,
 Że całuję Twoje usta!
Gdym się zbudził, róża zwiędła,
 Cela była mroczna, pusta...

III.

Pęk konwalji śnieżno-białe
 Przypomina dawny czas:
Twój ogródek w kwieciu cały,
 W nim marzących dwoje nas.

Twój ogródek, Twoje kwiaty —
 Nie zostało z tego nic!
Przez podwójne, zimne kraty
 Smutek czytam z Twoich lic.

IV.

Pod więzieniem — pełen woni
Zakwitł w maju kwiat jabłoni,
I wychylił się różowy —
Świat zobaczyć w krasie nowej.

Lecz gdy ujrzał mroczne mury,
Uwięzionych sznur ponury, —
Zbladł różowy kwiat jabłoni.
Gorzkie łzy do stóp nam roni...

Gdym był dzieckiem, dla swej Matki
Rwałem kwiecie z pól i łąk:
Barwne maki i bławatki,
Czasem polnej róży pąk.

Prędko, prędko płyną lata,
Przyszło życie, pełne prób...
Mnie więzienna trzyma krata,
Matkę przykrył zimny grób!

VORREI MORIRE NELLA STAGION
DELL'ANNO...

Ach, umrzeć chcę,
 Ach, umrzeć w takiej porze,
Gdy kwiatów woń
 Upaja swą pieśczętą,
Kołysze się
 Wśród pól zielone zboże,
Na srebrną toń
 Z lazurów kapie złoto...
Ach, umrzeć chcę,
 W kwiecistym spocząć grobie,
Lub — kochać Cię
 I żyć — i żyć przy Tobie!

Ach, umrzeć chcę
 W słoneczny ranek wiosny,
Gdy pośród bzów
 Słowicze słycać łkania,

Gdy duch się rwie
W upojeń świat miłosny,
Stęskniony znów,
Spragniony znów kochania...
Ach, umrzeć chcę,
W kwiecistym spocząć grobie,
Lub — kochać Cię
I żyć — i żyć przy Tobie!

Ach, umrzeć chcę
Na pełnej kwiatów łące,
Gdzie strumień gra
Melodję nieskończoną...
Jak gwiazdy dwie
Twe oczy kochające...
Z nich perła-łza
Niech spadnie na me łono...
Ach, umrzeć chcę,
W kwiecistym spocząć grobie,
Lub — kochać Cię
I żyć — i żyć przy Tobie!

Ach, umrzeć chcę,
Gdy pachną wiosny kwiaty,
Jak pielgrzym, iść
W ich woni w kraj daleki...
Niech usta me
Przysłonią róż szkarłaty.

Akacji kiść

Niech spadnie na powieki!...

Ach, umrzeć chcę,

W kwiecistym spocząc grobie,

Lub — kochać Cię

I żyć — i żyć przy Tobie!

PRZED ROZSTANIEM.

Towarzyszom więzienia
z pożegnaniem.

I.

Kilka wspólnych chwil w więziennej celi
I — być może — nie zejdziem się już.
Rwący potok życia nas rozdzieli
W tej epoce, pełnej walk i burz.

Kilka wspólnych chwil w więziennej celi
Z wiarą w blizki rozświt złotych zórz...
Lecz — czy z pąków cudny kwiat wystrzeli,
Czy je pożre czerw, zasypie kurz?

Ach, chwil kilka — i jak błędne łodzie
Wśród burzliwych rozchodzimy się fal.
Po spienionej błąkamy się wodzie,

Niejednego obca czeka dal.
Może jeszcze kiedyś na swobodzie
Tych więziennych chwil nam będzie żal...

II.

Takie stare, a tak smutne dzieje,
Nowy niby, a wciąż stary świat.
Jednym słońce Wolności się śmieje,
Inni za niem wzdychają z za krat.

Takie stare, a tak smutne dzieje,
Nienawidzi, gnębi brata brat.
Tu za wolność droga krew się leje,
Tam pracuje niestrudzony kat.

Lecz w tem dla nas pociecha jedynie,
W tem nagroda bólów, łez i strat,
Że napróżno taka krew nie płynie,

Że Wolności z niej wyrasta kwiat.
Teraźniejszość — okrutna i czarna,
Lecz w jej łonie — Wyzwolenia ziarna!

III.

Idziem w gwiazdy wpatrzeni Idei
Przez gehennę terażniejszych dni.
„A gdy trzeba — na śmierć po kolei“ —
Stare hasło w duszach naszych brzmi.

Ach, przez piekło idziem wśród zawiei,
O promiennem Jutrze każdy śni.
Idziem, w gwiazdy wpatrzeni Idei
I w ten sztandar, co nam krwawo lśni.

Dziś więzienie, jutro wciąż niepewne,
Nie rozpacza jednak nikt wśród nas,
Bo wierzymy, że śpiącą Królownę

Ze snu zbudzić — czas już, wielki czas.
Swym rycerzom cudny wieniec poda
Ta Królowna, ta Królowna młoda.

„Pawiak“, 7 lipca 1907 r.

IX
LISTY.

Z NAD BRZEGÓW NILU.

(Do Stefana Żeromskiego).

Wciąż pisać chciałem, dosyć długo
Łudziłem Was obietnicami,—
Że jednak człowiek losów sługą,
O czym najlepiej wiecie sami,
Więc list—ten promyk w życiu szarem —
Pozostał do dziś dnia zamiarem.

Są ciernie w życiu, jest i kwiecie,
Ach, często bywa nienajgorzej..
Sprzykrzywszy sobie marne krecie
Istnienie, jakie wiodą chorzy,
Skąpałem się w pustyni pyle,
Dotarłszy aż do świątyń Phylae.

Cudowna podróż! Ze mną razem,
Biegła błękitna Nilu wstęga
W girlandzie palm. A drogowskazem,
Który do chmur nieledwie sięga,
Był zrazu grób Cheopsa. potem —
Daszur, Sakkara *) w słońcu złotem.

*) Piramidy Cheopsa, Daszur i Sakkara w okolicach Kairu i ruin starożytnego Memfisu nad Nilem.

O zawartości zmarłych pola
Koło „schodowej“ piramidy
Powiedzą Wam, gdy wiedzieć wola,
Baedeker albo inne — głądy.
Dla rymu biorę ze słownika
Ten wyraz, zamiast — przewodnika.

Do Abydosu i Dendery
Prowadzić chciałbym Was czemprowadzę,
Lub do stubramnych Teb, gdzie cztery
Doby w tęczowej marzeń przędzy
Spędziłem, groby i pylony
Świątyń zwiedzając zachwycony.

Lecz tak odrazu — rzecz niełatwa!
Muszą być wstępy i przedmowy,
Aż rzecz choć trochę się zagmatwa.
Tak chce kierunek sztuki nowy,
A chociaż piszę list, nie odę,
Uwzględnić muszę prądy młode...

Więc tedy wagon był. W wagonie —
Nawiasem dodam: trzeciej klasy —
Burnusów tuzin w kurzu tonie.
Przy nich, jak dwa pikowe asy
Wśród barwnych królów, dam, waletów,
Siedziało — szczęściem, nie poetów

Dwuch, lecz z poetą młody lekarz,
To właśnie ja i mój towarzysz.
— Co to? z wagonu pan uciekasz
Na ganek? Życie mało ważysz!
— Tam widok szerszy się otwiera...
A pan? — Studjuję Baedekera...

Ach, wiem, że mniej praktycznie czynię,
Pieszcząc oczyma palm korony,
Lub biegnąc wzrokiem hen w pustynię,
Przez którą wielbłąd objuczony,
Brnąc w piasku, tonąc w morzu ciszy,
Prowadzi szereg towarzyszy.

Lecz już podobno w praktyczności
Nieprędko nas wykształci życie.
Do cnoty tej mój duch nie rości
Pretensji, za co los sowicie
Karze go rzędem dekonfitur...
Ha! Trudno... „Sic ad astra itur“.

Mknie smok żelazny. Jak stalowe
Dwa węże, szyny za nim gonią.
Zda się — przechylić tylko głowę
I głąskałbyś ich grzbiety dłonią.
Nie chcąc dopuścić tej pieszczoty,
Sypią ci w oczy piasek złoty.

Nic to, bo tylko Nilu czary
I smukłych palm zielone gaje
Przez złote widzisz okulary,
I złotym świat ci się wydaje,
A w koło na nim same cudy,
Prócz chat Fellahów... Jak psie budy,

Klecą je z mułu i nawozu.
Lepianek tuzin wioskę tworzy,
Gdzie ani konia, ani wozu.
Pies tylko szczeknie na obroży,
Osiołek z kozą szczypią trawę
I dziecko wrzaśnie chuderlawe.

Stacja. Ciekawie w koło patrzysz...
Wtem jakieś widmo z brodą siwą,
Z rękoma, złożonemi na krzyż,
W niebieskiej szacie, istne dziwo,
Przez słońce pozbawione wzroku,
Żałośnie jęknie o Proroku.

Nie łudź się próżno, stary ślepcze!
Kultury rydwan niewstrzymany
W swym biegu, takich, jak ty, depcze:
Nim krwawe oczu twoich rany
I nas zapieką krwawą raną,
Tobie — dolegać już przestaną.

Przechodzi skwarny dzień, jak chwila.
Słońce za góry gdzieś zapada,
Znów obraz znany się wychyla:
Z pastwisk wracają tłumnie stada,
Ciągną wielbłądy i bawoły,
Grożące rogatemi czoly.

Osiołek na orszaku czele
Pod wonną paszą się ugina,
A za nim — wierni przyjaciele —
Wielbłądów siwych cna drużyna,
Tworzących łańcuch długi, który
Wygląda, jak zieleni góry.

Kroczą, kołysząc się z powagą,
Na każdym trawy ze dwie fury,
Nie licząc dziatwy, która nago
Na szczycie siedzi tej figury,
Skąd, nim dosięgnie wzrok berbeci,
Już do nas: „Bakszysz, bakszysz!“ leci.

Jak cenna perła na dnie wody,
Tak dźwięk ten utkwił w mej pamięci.
Powtarza go tu stary, młody,
Mahometańscy wszyscy święci,
Od siwych starców do hałustry,
By z rąk ci wyrwać piastr, dwa piastry...

Po całym dniu pamiętnej drogi,
Obfitującej we wrażenia,
Do Girgé nas przywiodły bogi,
Gdzie, dumny z palm wysmukłych cienia
I z gospodarza swego Greka,
Hotelik nas z noclegiem czeka.

Ów Grek pochodzi z wyspy Krety
I jest helleńskim patryjotą,
Jak po kolacji nam na wety
Oświadczył, lecz że łatwiej złoto
W Egipcie robić, niż na Krecie,
Więc tu... ciąg dalszy pewno wiecie.

Przebiegły doktor z nowo-grecka
Do Kreteńczyka coś zagadnie,
Czem mu oblicze, jak u dziecka
Rozjaśnił, poczem wymógł snadnie
Od ceny zniżkę, którą zdzierał,
Gdy mógł, niedoszły ten generał

Kreteński przeciw Turków sile.
Choć tej — bez niego się pozbyto...
Ach! Grek nasz grzecznym był na tyle,
Że, wzięwszy za wieszak myto,
Sam odprowadził nas na górę,
By noclegową wskazać dziurę.

„Kamera syn krowatis dyjo“ *)
Ma cztery kwadratowe metry
I ślady, że ją raz w rok myją
Z pomocą sody czy saletry.
Wychodząc, z dumą nieskończoną
Grek w ścianę stuknął: „Telefono!“

Miał to być elektryczny dzwonek,
Lecz funkcjonować przestał dawno.
Popsuł się, mówiąc bez osłonek,
Ale „kamerę“ zrobił sławną
I mógł powiedzieć: „Umrzeć miło,
Gdy tak cel bytu się spełniło!“

Assuan w Górnym Egipcie, 1902 r.

*) Pokój o dwóch łóżkach.

LIST Z WIĘZIENIA.

Zofji Ankowskiej
z mroków turmy na Capri słoneczną
przesyłam.

Zamiast biletu na piętnasty Maja,
Ten list do Ciebie wysyłam za morze...
Wspomnienie czasem, jak nektar, upaja!
Myślę o Tobie w swej więziennej norze,
Gdzie mnie wtrąciły „Ochrany“ wyroki,
I nagle—wspomnień stubarwnych gromada
Z nad Neapolu błękitnej zatoki,
Jak rój motyli, do celi mej wpada,
I na swych skrzydłach, brylantową rosą
Błyszczących, duszę mą na Capri niosą.

Na Capri... Wciąż więc bawicie tam z Helą?
A ja, od czasów tamtych tak daleki,
Choć od nich rygle i kraty mię dzielą,
Sroższe tysiąckroć, niż góry i rzeki,

Niż mórz i lądów przestwór niezmierny,
Zamykam oczy i znów w te błękity,
W słoneczne, złoto-lazurowe strony,
Płynę na marzeń łodzi srebrnolitej
I znów widokiem tych cudów się pieścę,
Co w duszy mojej — ach! jak żywe jeszcze!

W półśnie zamykam oczy. Mrok... I oto
Płoną przedemną zatoki lazury,
I słońce leje roztopione złoto
Na fal błękity i na sine góry.
Wezuwjusz. Nad nim ciemna dymu wstęga,
U stóp miasteczek pięć, Castellamare, —
A kiedy dalej wzrok przez fale sięga,
Z wód się Neapol wynurza, gdzie stare,
Zczerniałe drzemią mury *Castell' Ovo*,
Rzucając klątwę na epokę nową...

Neapol... W ulic wązkich labiryncie
Chodziłem z Tobą, jak zbłąkana dusza,
Ty przestrzegałaś nas: „Tylko nie zgińcie!“
Prowadzić miałaś na grób Wergiljusza
I sama byłaś jak drugi Wergili,
Co przez piekielny żar wędrował z Dantem,
Od tej pamiętnej i radosnej chwili,
Gdyśmy ujrzeli z Jerzym, mym infantem,
Że „Ciocia“ z Adrym ku nam z portu jedzie, —
Wiodłaś nas, jak ów duch, idąc na przedzie.

Wiodłaś nas, pomnę, przez słoneczne żary
Aż nad zatoki brzeg, gdzie w parku rosną
Palmy, a dalej szafirowe czary
Ekstazą jakąś przejmują radosną,
A z boku dymi Wezuwjusza krater,
W którego paszczę—sam już—w miesiąc potem,
Jak romantycznej powieści bohater,
Patrzałem długo, gdy z Capri z powrotem
Do starej Romy jechałem z pokłonem,
Romy, gdzie przysiągł—być jeszcze przed zgonem...

I będę! Ale nie o Rzymie mowa!
Dziś w inne strony płyną myśli fale.
W oczach mych staje grotą lazuruwa,
Jak czarodziejska koncha, skryta w skale,
I trzy jej siostry, Rossa, Verde, Bianca, *)
Jak Afrodyty tęcze namioty,
Skąpane w blaskach promiennych poranka,
Kiedy na niebie krąg zabłyśnie złoty
I brylantami szafiry nakrywa,
Z których, jak morza cud, Capri wypływa.

Ach, nie zapomnę nigdy tej podróży
Pierwszej przez lazur zatoki uroczy!
Biała „Mafalda“, parowczyk nieduży,
Pruł błękit; za nią dym, nakształt warkoczy,

*) Różowa, zielona, biała—nazwy trzech grot na Capri, rywalizujących co do piękności ze słynną grotą lazuruwą.

I bruzda srebrna na przejrzystej fali.

Cudny Neapol półkole za nami
Zataczał, wreszcie ginąć począł w dali.

U stóp wulkanu szereg miast—kwiatami
Zdał mi się w słońcu, w szafirach, w błękitcie,
A snem czarownym zdawało się życie!

„Mafalda“ drogę robi nieco krętą.

Do jednej, drugiej przystani zawija, —
Wreszcie — różowe błysnęło Sorrento,

Skąd już tak blisko Capri *cara mia*...
Już widzę kształt jej fantastyczny, skały
Strzeliste, strome, jak gotyckie gmachy,
Nawet w *Marinie* rząd różowo-blady

Domków z płaskimi, jak werandy, dachy, —
Odróżniam wszystko, o słońca zachodzie
Stojąc — wzruszony — na parowca przodzie.

Dostrzegam wreszcie w barce postać drogą...

Łódź się kołysze, płynąc w statku stronę...
Tu jednak słowa wystarczyć nie mogą.
Na powitania akt spuszczam zasłonę.

.....
Po chwili wszyscy razem w jednej łodzi
Ciekawość budzim w kapryjskiej publice.
Włochów i Włoszek tłum na brzeg się schodzi,
A wśród nich — Clelia, druga Eunice,
Co usługiwać ma nam u Ruocchi,
Już z góry do nas słodkie robi *occhi* *).

*) Czytaj *oki*, po włosku oczy.

Wylądowanie. Pochód przez Marinę.

Piękne Kapryjki kufry nasze niosą
Na głowach. Inne szczegóły pominię...

Po trzystu krokach marszu w górę, szosą,
Jesteśmy w willi. Pełen uprzejmości —

Hotelarz dzisiaj, marynarz przed laty —
Signor Ruocco wita miłych gości

I prezentuje z dumą trzy komnaty
Z widokiem cudnym na morza błękitny
I na Wezuwjust w głębi, w dym spowity.

Natany

O kamienisty brzeg uderza fala

I pieśń swą tęskną szemrze, płacze, śpiewa...

Czy wodę słońce wschodzące zapala,

Czy księżyc srebrem wybrzeża oblewa,

Czy tajemniczy mrok ostania morze,

Czy się roztacza nad niem świt perłowy,

Wieczorem, z rana, o każdej dnia porze

Fala swym szmerem, tak pełnym wymowy,

Na brzeg się skarży, co ją precz odpycha,

Gdy lec chce przy nim, jak kochanka cicha.

I ten czarowny śpiew tęsknego morza

Zdaje się dotąd rozbrzmiewać w mej duszy.

Czasem go wicher przyniesie z przestworza,

Czasem jęk głuchy starej, polnej gruszy,

A czasem lipy, które w „górnym sadzie“

Rodzinnej wioski mojej szumią zcicha...

Ten śpiew mnie budzi, ten szmer do snu kładzie,
I nie wiem, czy to jeszcze morze wzdycha,
Czy tylko zrana, w południe, z wieczora
Łka tak skargami dusza moja chora...

Nawet tu, w celi, gdy uśnie więzienie
I gdy znużone szyldwachy się zdrzemną,
Jakieś mnie znane otaczają cienie,
I niezwykłego coś dzieje się ze mną.
Przez wąziutkiego okna grube kraty
Znowu przeszłości mary zagładają:
Obrazy, niegdyś widziane przed laty,
Przedemną w krasie barw i blasków stają,
I poszum smętny dolatuje zdala:
Zda się — znów płacze, łka, skarży się fala.

Lecz dosyć! Teraz ty mi powiedz, proszę,
Czy wciąż ten czar się nad Capri rozlewa?
Czy morze daje te same rozkosze?
Czy tak różowo oleandrów drzewa
Kwitną, jak kwitły przed rokiem niespełna?
Czy — gdy wiatr fale pomarszczy, potarga, —
Ich grzywy srebrzy równie śnieżna wełna?
I czy tak samo fal rozbrzmiewa skarga,
Jak brzmiała wówczas, w nocie księżycowe,
Których w marzeniach strawiłem połowę?

Dziesiątki pytań spływają na pióro,
Obrazów setki blaskiem swym i czarem

Rzucają tęczę w mą celę ponurą,
Choć cele tutaj, w tem więzieniu starem,
Przypominają mi — egipskie groby,
Z tą dla Egipcjan korzystną odmianą,
Że tam są liczne rysunki, ozdoby,
I że — jeżeli mumje zmartwychwstaną —
Mieć będą więcej światła i przestrzeni.
Powietrze, słońce tu drożej się ceni...

Ach, niepotrzebnie ten obraz się płacze.
Teraz się znowu posypią pytania:
Wszak zakwitnęły już liljowe pnące,
Których gąszcz w Capri każdy mur osłania?
I czy znów — napisz — „Łażnie Tyberjusza“
Są celem różnych malarskich wycieczek?

.
.
.
.

Jeszczebym wiedzieć chciał, czy na Solaro *)
Wdrapał się z Was kto tak, jak my przed rokiem,
Lub czy przynajmniej Tyberjusza starą
Latarnię Hela zaszczyliła wzrokiem?
Czy ją wzruszyły dzikie „farałjony“,
Jak dwa wśród morza sterczące giganty,

*) «Najwyższy szczyt na Capri.

Gdy na nie słońce rzuca blask czerwony,
Lub gdy po falach rozsiewa brylanty?
I czy pan Maciej, siostrzeniec kochany,
Rad jest z tej nowej w życiu swem odmiany?

I powiedz jeszcze (Już za chwilę kończę!),
Czy pieśń o cudnem „*mare di Suriento*“,
Gdy noc nad morzem rozwinie opończę,
Rozbrzmiewa z łódek? Czy znów w każde święto
Bengalskie ognie nad falami płoną
I gdzieś wysoko pękają *fuocchi*, *)
Zdając się niebo okrywać zasłoną
Złocistych iskier? Czy w willi Ruocchi
Bywacie? I czy sam *signor* Ruocco
Wciąż na Twój widok wzdycha tak głęboko?

A pan kapitan „Reginy Eleny“
(Z księżniczką dawniej, dziś pływa z królową)
Czy — kawalerskiej zawsze pełen weny —
Pruje codziennie falę lazuruwą?
I powiedz, powiedz, czy w blaskach miesiąca
Tak samo srebrzą się zatoki tonie,
Wiosło o fale bez szelestu trąca,
Jak w chwilach owych, które myślą gonię!...
Ach tak! Są miejsca, gdzie jeszcze żyć miło,
Nie wszędzie turmą życie i — mogiła!

*) Fajerwerki.

Dziś, dzięki Tobie, tej przeszłości echa
Do celi mojej spłynęły, jak kwiaty.
A chociaż smutna to również pociecha
O dniach szczęśliwych wspominać—z za kraty,
Rad jestem szczerze, że choć na chwil parę
Ten list mnie przeniósł hen, do włoskiej ziemi,
I w przędzy życia smutne nici szare
Na krótko chociaż — zastąpił złotemi.
Kończę! Szczęśliwą bądź w cudnej ustroni,
Niech Cię od „Ochran“ wszelkich niebo chroni.

Więzienie śledcze, Maj 1907 r.

ZE WSI.

Ignacemu Chrzanowskiemu
z pozdrowieniem serdecznem.

Żal mi, mój drogi, że czas nie pozwala
Spędzić Ci z nami choćby kilku dni,
Że Cię przekorna jakaś losu fala,
Co, zda się, z pragnień moich wszystkich drzwi,
Po świecie nosi i okrążyć zdala
Każe tęskniące wciąż do Ciebie drzwi.
Tu, w wiejskim domu, drogi Profesorze,
Przyjazne serca znalazłbyś też może...

Więc, kiedy żadną już nie mogę wędką
Zwabić Cię na wieś, choć nibyś mi druh,
Gdy się zobaczyć znów mamy nieprędko,
Gdy nas w dwie różne strony czeka ruch, —

Pozwól, że chociaż listowną gawędką,
Na tle spędzonych tu miesięcy dwóch,
O tem i owem z Tobą dziś pogwarzę,
Przebytych kilku chwil budząc mirażę.

Jestem wciąż na wsi. Brzozy długowłose
I wonne lipy otaczają dwór.
W ogrodzie zrana brylantową rosę
Wypija słońce, śpiewa ptaków chór...
Więc przedewszystkiem niebu dzięki niosę,
Że—choć chwilowo—błyszczą nam bez chmur,
I idę słuchać harf wietrzanych grania
Wśród parku, który wkoło dwór osłania.

A wiesz? Inaczej gada wiatr, gdy trąca
Prababki-lipy wpół spróchniały zrab,
Inaczej wierzba śpiewa mu płacząca,
Inaczej gwarzy stary wojak-dąb.
Melodja wszystkich drzew w parku się zmaça,
Ale ma w sobie dziwny czar i głąb...
Więc, chociaż o tem mówić już daremno,
Żal mi, że słuchać jej nie możesz ze mną!

Żal mi, gdy gwiazdy, błysnąwszy wieczorem,
Haftować zaczną lazurowy płaszcz,
Że nie rozmawiam z Tobą — gdzieś za dworem,
Gdzieś nad strumieniem, wśród nadbrzeżnych
[haszcz...

Samotny błędzę romantyków wzorem,
Dochodząc czasem do otwartych paszcz
Przydrożnych jarów, co groźbami zioną,
Chociaż—naprawdę—nie groźne ich łono.

Czasem, tak błędząc, jak dusza-wygnanka,
Lub jak Lear stary wśród podmuchu burz,
Szaro-złotego doczekam się ranka.

Rosa obmywa ze stóp moich kurz,
Zorza mię pieści, jak czuła kochanka,
I, tchnąc, jak ona, świeżą wonią róż,
Przecudne do mnie wyciąga ramiona,
A noc ucieka i—z zazdrości kona.

Cudne są na wsi ranki i wieczory,
Przecudną czasem bywa srebrna noc!
Chór żabi w stawie odprawia nieszpory,
Lecą gdzieś gwiazdy ze złocistych proc...
Ach, tutaj nawet duch zbolały, chory,
Odzyskać musi utraconą moc!
Ach, tutaj nawet napół martwych ludzi
Przyroda leczy i do życia budzi...

Lubię spoglądać, jak księżycyca w pełni
Krwawy na wschodzie wylania się krąg.
Niebo chmurkami białymi się wełni
I woń potrawiu dolatuje z łąk...

Kto w życia szarej, pospolitej mełni
Codzień doznaje potępieńczych mąk,
Niech duszę w kąpiel taką księżycową
Zanurzy... Może zacznie żyć nanowo!

Lub niech, do stawu zbliżywszy się toni,
Pchnie na srebrzyste nurty lekką łódź.
Niech gdzieś daleko piosnka wiejska dzwoni,
Niech sama łódka zacznie fale pruć.
On—niechaj chwile te myślą pogoni,
Do których wołać chciałby: „Chwilo, wróć!”
A duszę jego rzuci wnet szarzysta
Wszelka, i—żem mu dobrze radził—przyzna.

I lubię słuchać (gdy miesiąc, w lazury
Wzbiwszy się, świeci przez konarów las)
Jak—z za ogrodu tuż—z sąsiedniej góry,
Dochodzi skrzypek granie, pomruk bas,
Któremu bęben wtóruje ponury, —
Młodzież wioskowa, pokrzykując wraz,
Wiruje, tupie i coraz weselej
Z tej przedjesiennej korzysta niedzieli.

Bo wieś niedziele obchodzi wesoło,
Lecz w dni powszednie ciężki jest jej trud.
Nieraz uznoi krwawy pot jej czoło,
W przednówek nędza zapuka do wrót..

A życie na wsi jest nielada szkołą.

W której nas—mądrych—uczy ciemny lud,
Jak to trwać trzeba na czarnym zagonie,
A czasem nawet—w jego lec obronie.

Lecz długo piszę, a chciałem poprostu .

Żeś nie przyjechał — wyrazić Ci żal.
Życzę Ci teraz zdrowia, szczęścia wzrostu,
Powodzeń wszelkich. Resztę —licho pal!
I—z braku rymu dobrego na — ostu —
Kończę, by znowu szmeru srebrnych fal
Posłuchać, w którym strumień się spowiada.
Bądź zdrow i—przyjedź! To—najlepsza rada...

Nasławice, sierpień 1910 r.

Z MIASTA.

Marji.

Wierszem do Ciebie dzisiaj list napiszę,
Z raj u na miejskie wypędzony bruki.
Ty raj masz jeszcze, masz spokój i ciszę,
Mnie—ludzie szarpią, jak krwiożercze kruki,
Co zranionego opadły jelenia...
Ach! wiem...! Tak trzeba dla synów nauki,
Dla interesów, o których wciąż slysze,
Lecz położenia to wcale nie zmienia.
Źle mi bez Ciebie, bez wsi... Więc w rozgwarze
Miasta o raju utraconym marzę.

Z okna za ledwie skrawek widzę nieba
I nie wiem nawet, czy Mars jeszcze świeci,
A tak niedawno — czyż mówić potrzeba! —
Szukaliśmy go na niebie, jak dzieci,
Do których jeszcze gwiazd się śmieją oczy
I którym same kwiaty rodzi gleba.

Dziwne to życie! Jak szalone leci
I gdzieś nas w przepaść tajemniczą toczy.
Lecz niech tam! Byle—za bogów rozkazem —
Wtraćilo nas w nią nieprędko i—razem.

Wiesz, droga moja, może ja się myślę,
Lecz sądzę, że kto na pustyni świata
Chwil pięknych wspólnie—jak my—przeżył tyle,
Tego już żadna nie rozłączy krata:
W obliczu *chwili najpiękniejszej* stanie
Przy Tobie duch mój i—w mogilnym pyle
(Z którym się tylko duch poziomy brata)
Nie grzęznąć wcale—nowe niespodzianie
Gdzieś stąd daleko obierze siedlisko...
Na Marsie może, choć i tam — za blisko...

Tymczasem jednak wolałbym z gwiazdami
I z planetami nie wchodzić w zażyłość.
Niech Mars wysoko gdzieś świeci nad nami,
A tu — na ziemi — niech nam płonie miłość
I niech nam jeszcze serca grzeje ciepłem.
Pragnałbym, byśmy znów błędzili sami
W noc księżycową, a wszelka zawilość
Życia z obliczem suchem, bladym, skrzepłem,
Niech nam chwil pięknych już nigdy nie kradnie,
Niech, jak zła mara, zginie i przepadnie!

Razem!... Ach, gdzieśmy już razem nie byli!
Jakie nas razem nie nosiły fale!

Pamiętasz? Słońce na zachód się chyli
I po pustyni swe krwawe korale
Rozrzuca dłonią hojną, przebogata.
Pamiętasz, droga? Mnie pamięć nie myli...
Dziśbym odtworzyć umiał doskonale
Tej zimy obraz, co była jak lato,
I—zda się—widzę, jak w zachodniej stronie —
Za Nilem—w słońcu piramida płonie.

Albo — jak palmy strzelają w niebiosy,
Albo — jak białe płyną *dahabije*...
Wspomnienia takie bywają jak rosa.
Jak kwiat spragniony, człowiek rosę pije
I znów do życia odrodzony staje,
Aby brnąć przez nie, póki śmierci kosa
Zlekka o jego nie zawadzi szyję
I nie przeniesie w Elizejskie gaje,
Do których jakoś, choć źle w ziemskim domu,
Pilno z żyjących bywa — rzadko komu.

A Wezuwjusza dymy czy pamiętasz?
I szum tej fali, co o brzeg nasz biła?
Lub ten na Capri cichy, mały cmentarz,
Gdzie wabić każda zdaje się mogiła,
Gdzie—zda się—miło tak złożyć już głowę,
Wszystkich spraw ludzkich zrobiwszy inwentarz?
Gdzie nawet zeszcłej ziemi szara bryła
Zda się od innych lżejszą o połowę —

Tak, że — na serce spadłszy — nie zacięży
Więcej od ciemnych, nadmogilnych węży,

Albo zielonych jaszczurek, co skaczą
Wśród grobów, mącąc powagę cmentarną
Zabawą miłą, dziarską, lecz—prostaczą
I—niestosowną... Tak, morału ziarno
Rzuciwszy między proste wiersze swoje
(Niech mi je oczy Twe dobre wybaczą),
Obracam dalej strofy nowej żarno
I o ubiegłych chwilach jeszcze roję,
O chwilach, które przepędzałem z Tobą,
Nim los rozłąki okrył mnie żałobą...

Lecz poco szukać daleko? Ach, powiedz,
Bo pytam o to, jak znużony drogą,
Spragniony wody krynicznej wędrowiec,
Czy—gdym już odszedł w atmosferę wroga —
Ta sama ptaków gromadka wciąż gości
W ogrodzie naszym? Czy każdy manowiec
Ma ten sam wygląd i czy wciąż tak błogo
Dusza się pluska w ciszy, w samotności?
Czy cudne astry wciąż po klombach kwitną,
Odziane biało, czerwono, błękitno?

I czy nad stawem wierzby wciąż tak samo
Zielone włosy kąpią w mętnej toni
I otaczają staw grającą ramą?
A w stawie karaś srebrnołuski goni

Swą zdobycz lichą, lecz wędki unika..
I powiedz jeszcze, czy często przed bramą
Widujesz małe stadko naszych koni?
Czy Faworyta po ogrodzie bryka?
Czy biała Muszka po dawnemu szczeka
Na Ciebie, gdy Cię zobaczy zdaleka?

I czy tak samo noce księżycowe
Srebrzą nam cały dom, wyspę i drzewa?
A żab orkiestra wciąż koncerty nowe
Daje w dwóch stawach, strumień z cicha śpiewa
Jakaś odwieczną piosenkę tęsknoty..
I czy tam—w parku—słyszeć nocą sowę,
Która żałośnie jęczy, niby mewa,
Ale—polując—wbija szponów groty
W ptaszki, jakgdyby w Berlinie słuchała
Rad wymownego bardzo — generała?

Ach! I co szumią nasze lipy stare?
Czy żadna, żadna o mnie nie wspomina?
A może czasem widzisz białą marę,
Co przy księżycu wędrówkę zaczyna,
Albo, na staw się wykradłszy na łódce,
Zanurza w wodzie srebrnych wiosel parę
I ginie w mroku... O wszystkim, jedyna,
Powiedz mi, napisz! Oczekuję wkrótce
Tych wiadomości i—na tem już kończę.
A szlę te kartki przez gołębie gończe...

Warszawa, wrzesień 1909 r.

X

PRZEZNACZENIE.

FAUN PŁACZĄCY.

Cudowna letnia noc. Las pełen srebrnych drzew.
Przez wonnych liści gąszcz przeliera księżyc blade.
Z za rozmarzonych brzoź dochodzi tęskny śpiew:
To, tańcząc, śpiewają dryjady.

Na ciemnym świerków tle gromada lasu cór,
W girlandach z dzikich róż, w pachnących włosów
[złocie,
Zatacza w koło krąg i tworzy dziwny chór,
Dziewanny depcąc i paprocie.

Jedna się skarży z nich, że kiedyś, w skwarny
[dzień
Miłosne sieci jej ominął pasterz młody.
Próżny był serca krzyk i żar palących tchnień,
On wzgardził czarami urody.

A inna pragnie w swój miłosny zwabić krąg
Rycerza dawnych lat, co granic kraju strzeże.
Daremna rozpacz jej, załamywanie rąk:
Już dawno wymarli rycerze.

Inna sprzykrzyła już północnych niebios strop,
I szarpie serce jej tęsknota do Hellady.
Jedną pogardził król, tą znowu prosty chłop,
Więc, tańcząc, skarżą się dryjady.

A wtem z za srebrnych olch, ze śmiechem: „hi,
[hi, hi!“
Wyskoczył młody Faun i ku dryjadom zmierza...
W złocistym blasku gwiazd koźła mu broda lśni,
Człowieka w nim pół, a pół zwierza.

Wszczyna się popłoch, lęk w gromadzie leśnych
[dziew,
Pierzchają wszystkie w gąszcz z okrzykiem:
[„Precz, potworze!“
Przerwał się cudny krąg, zamilknął tęskny śpiew,
I cisza zaległa w tym borze.

Faun wstrzymał nagle krok i w osłupieniu trwa,
Chciałby popędzić w las, lecz gorzko się uśmiecha,
Chciałby zagłuszyć ból... Wtem—w oku błyska łaża:
Wydarły ją śpiewu ich echa...

KWIAT SZCZĘŚCIA.

I.

Kwiat szczęścia wąty jest i kruchy,
Codzień go miazdzy życia stal...
Rozbiegły się precz nasze duchy,
Jak dwa łabędzie pośród fal.
I płynię każdy w swoją stronę,
Swą gorycz niosąc i swój żal...
Nad nimi niebo zasępione,
Przed nimi — obca, zimna dal.

Łabędzie płyną, lecą duchy
Do tajemniczych śmierci wrót.
Kwiat szczęścia wąty jest i kruchy,
Jak każda z marnych, ziemskich złud.
A gdy raz padnie, poszarpany,
Na łodzi życia mroczny spód,
Na nic wysiłki, krwawe rany:
Nie wskrzesi już go żaden cud!

II.

Daremnie wdzieraszą się na szczyty,
W oblicze patrzysz złotych zórz.
Daremnie prujesz mórz błękity,
Cudownych, południowych mórz.
Da zapomnienie rozkosz taka,
Z twej duszy strząśnie nizin kurz,
Lecz nie powróci szczęścia — ptaka,
Co cię na zawsze rzucił już.

Choć dobrze czasem twojej duszy
Gdzieś na zawrocie górskich dróg,
Choć ból niekiedy tłumi, głuży
Ryk burzy, kaskad dzikich huk —
Daremna w gruncie twoja praca:
Chociażbyś przeszkód setki zmógł,
Ten rzadki gość już nie powraca,
Gdy raz się wymknął za twój próg..

LOS.

Jaskółka ciemno-błękitna
W przelocie nad tonią wód
Piersiami mierzy śnieżnemi
Tej fali chłód.

Po chwili znów się unosi
W podniebny, bezkresny lot,
Słoneczne prując przestwory,
Jak wartki grot.

A ryby srebrzystołoskie,
Szybując przez ciemną toń,
O locie marzą dalekim
I tęsknią doń.

Cudowny spełnićby chciały,
Najczarowniejszy ze snów —
Z pluskiem rzucają się z toni,
By — spaść w nią znów...

Olbrzymia wierzba płacząca,
Przez czasu tknięta już zęb,
Od wieku stoi wpatrzona
W tę samą głąb.

Zazdrości rybom i ptakom
Ich płasów wśród wolnych sfer.
Ku niebu leci ze skargą
Jej liści szmer.

Na wierzbę, ryby, jaskółki
Spogląda „stworzenia król“.
I jego serce przeszywa
Odwieczny ból.

A chociaż przez usta dumne
Skargi nie przedrze się głos,
On również — pragnąłby może
Zwyciężyć — los!

Nasławice, 31 lipca 1910 r.

JEŻELI KOCHAM.

Jeżeli kocham, pragnąłbym z kochaną
 Naprawdę jednej nie stracić minuty
I pierwszy uśmiech jej chwytać co rano,
 Uśmiech, co w wiosnę zmienia groźny Luty,
I całowaniem zamykać jej oczy,
Gdy cudny blask ich anioł snu już mroczy.

Jeżeli kocham, z uczuć mych aniołem
 Pragnąłbym każde drgnienie ducha dzielić,
Z nią marzyć, myśleć i pracować społem,
 I z nią się smucić, i z nią się weselić,
A wspólne czucia i wspólne porywy
Wcielać w czyn — albo w kształt poezji żywy.

Gdy kocham, pragnę, by słowa mej miłej
 Grały mi w smutku piosenkę słowiczą,
By jej pieśczoła dodawała siły
 Do walki z życia bezdenną goryczą,
By pocałunków jej czar niezrównany,
Koił, jak balsam, wszystkie ducha rany.

Gdy kocham, cudny pałac djamentowy,
Wznoszę wśród szczęścia i rozkoszy raj,
I blask odemnie bije, jak od głowy
Mojżesza, kiedy powracał z Synaju,
A w sercu cudne pragnienie się budzi:
Swem szczęściem wszystkich uszczęśliwić ludzi,

Gdy kocham... Czemuż uczuć czary złotej
Przelotnie tylko dotykać mi dano!
Pół życia schodzi w męczarniach tęsknoty,
Zanim chwil kilka spędzę z ukochaną,
Duch mój samotny po świecie się błąka,
Przekleństwem jego wiecznem jest—rozłąka!

NA ŁODZI.

Zmęczone wiosła nie chcą prac
Zwełnionej toni.
Zielono-biała moja łódź
Pod tchnieniem wiatru płynie gdzieś,
Srebrzyste planki goni.

O nieś mnie, łodzi biała, nieś,
Omijaj brzeg zdaleka!
Świętuje dzisiaj cała wieś,
Radosny z brzegu leci śpiew,
Lecz mnie tam — nikt nie czeka.

Radosna leci pieśń z za drzew,
Dochodzi skrzypek granie.
Lecz jam tu gościem z innych stref,
Nie dla mnie dziewcząt wiejskich śpiew,
Nie dla mnie ich kochanie.

W przeciwną stronę kieruj bieg,
O łodzi, pełna ciszy.
Samotność smutkom dobry lek,
Niech westchnień twoich tamten brzeg
Nie widzi, ani słyszy.

KOCHANKA MOJA.

Kochanka moja złotowłosa
Przychodzi do mnie w wiosny czas.
Jej stopy srebrzy pereł rosa,
Jej pieśni echem śpiewa las...
Kochanka moja złotowłosa!
Nie jest nią jednak żadna z was...

Kochanka moja wymarzona,
Tysiącem zdobna cudnych kras,
Wyciąga do mnie swe ramiona,
Po lesie błądzi ze mną wraz.
Kochanka moja wymarzona —
Nie jest nią jednak żadna z was...

Kochanka moja — upojenie —
Rozkoszy płomień łączy nas! —
Roztacza splotów swych pierścienie
Na szatę z djamentowych gaz...
Kochanka moja — upojenie!
Nie jest nią jednak żadna z was...

Kochanka moja — czar przyrody,
Miłości pełna, próżna skaz,
Nad tajemnicze ciche wody
Niejeden jeszcze przyjdzie raz.
Kochanka moja złotowłosa!
Nie jest nią jednak żadna z was...

Kochanka moja złotowłosa
Przychodzi do mnie w wiosny czas.
Jej stopy srebrzy pereł rosa,
Jej pieśni echem śpiewa las...
Kochanka moja złotowłosa!
Nie jest nią jednak żadna z was...

W MYM POKOJU.

W mym pokoju na wsi głuchej
Wisi portret Słowackiego,
Bo od dziecka czić przywykłem
Jego pieśni, Ducha jego.

W mym pokoju, tuż przy łóżku,
Półkę sporą umieszczono,
Na niej rzędem stoi w zgodzie
Ulubionych wieszczów grono.

Więc wyciągnąć tylko rękę,
I zachwyca się wnet dusza
Oktawami „Beniołowskiego“,
Czarem dziwnym „Tadeusza“.

Czasem zajrzę i do prozy,
Gdy poezja znuży wzniosła:
Wielbię sercę Żeromskiego
I ironję Prawdy Pośła.

.....

W mym pokoju pusto niby,
Cztery ściany i piec piąty,
Ale czasem dziwni goście
Napełniają wszystkie kąty.

W księżycowem oświetleniu,
Albo w świtu krwawem złocie —
Wkracza szereg mar, przybranych
W nenufary i paprocie.

Wkracza szereg mar, wysnionych
W niepowrotnych dniach młodości,
Aż się robi tłumno, gwarno
Od tych gości, drogich gości.

Szeptają do mnie czary, cudy,
Że aż słuchać dziw, jak miło!
Tylko żadna z nich nie powie,
Gdzie się szczęście me ukryło...

.
Ach, i znowu smętna nuta
Z pod stalówki mej wypływa,
Choć to jeszcze jest nie jesień,
Ale zycia lato, żniwa...

I przez okno wzrok mój leci
Na kobierzec pól daleki,
Na pagórki w brzozech, świerkach
I na srebrną wstęgę rzeki.

Czasem dojdzie śpiew donośny
 Polnych ptaków lub kosiarzy —
I mą duszę, jak za młodu,
 Ukołysze i rozmarzy.

Pieśń, w dzieciństwie ukochana,
 Leci — nie wiem, z której strony...
Dziwny czarze pieśni sielskiej,
 Bądź mi zawsze pozdrowiony!

.
Znów na czułą nutę wpadam,
 Choć czułością gardzić zwykłem,
Jako czemś zabawnem nieco,
 Trochę mdłem i trochę nikłem.

A tymczasem już się wdziera
 Przez me okno brzask perłowy,
I poranny wietrzyk targa
 Srebrnych moich mar posnowy.

Witaj, dniu, i przynieś z sobą
 Nowy zapach, nowe siły,
By pchać dalej taczki życia
 Od kolebki do mogiły...

Pracy tych, co mają czyste
 Dusze, chociaż ręce czarne,
Ich nadziejom, ich wysiłkom
 Nie daj, nie daj iść na marne!

POŻEGNANIE.

O pani! Pierwszy złoty liść,
Jesienny liść już spada...
Musimy w różne strony iść,
Bo razem — nie wypada.
I tak te kilka spojrzeń twych,
Srebrnego nieco śmiechu —
Zgorszenie budzi pośród tych,
Co sami są — bez grzechu.

Ach, pani, — dziwnie czasem los
Kieruje życiem ludzi.
Brzęczenie nawet zwykłych os
Niekiedy zmęczy, znudzi...
Brzęcz, utrapiony roju, brzęcz,
Nie sięgniesz żądłem duszy.
Wspomnienie kilku barwnych tęcz
Twych ukłóć ból — zagłuszy.

Lecz już jesienny nadszedł czas —
Ładneśmy lato mieli —
I opustoszał marzeń las,
Jak kiedyś pisał El... y.
Pragnąłbym jednak moc tę mieć,
By za twe wszystkie winy
Oplątać duszę twoją w sieć,
W sieć srebrnej pajęczyny.

A każda sieci srebrna nić,
Za tobą goniąc wszędzie,
Niech w duszy twojej zaczną lśnić
We wspomnień miłych rzędzie.
Ten czar uśmiechów, perły słów,
Przyjaznych rozmów parę,
Niech nam rozjaśnia czasem znów
Jesienne ranki szare.

Niech w czas wieczorny, niby duch,
Pukają w twoje podwoje,
A czasem o twej duszy słuch
Obiją imię moje.
Ach, tak... Pragnąłbym moc tę mieć,
By za twe wszystkie winy
Oplątać duszę twoją w sieć,
W sieć srebrnej pajęczyny.

POLONEZ POŻEGNALNY.

Sto płomieni świeci z góry,
Wzrok rycerzy iskry ciska...
Wśród jedwabiów, wśród purpury
Poszczerbione lśnią szabliska.
Barwną wstęgą — istne czary —
Za parami ciągną pary.
Moment nadszedł już fatalny:
Brzmi polonez pożegnalny.

Suną pary korowodem,
Każdy rycerz z lubą swoją,
A sam rotmistrz idzie przodem,
Poszczękując ciemną zbroją.
Obok cudna białogłowa
Zapłakane oczy chowa
Pod czarniawych rzęs osłoną.
Ból rozdziera kształtne łono.

„Mościa pani, bywaj zdrowa!
Przeszła rozkosz miłowania...
Surma oto nam bojowa
Rozłączenie dziś wydzwania.
Po miłości słodkiej porze
Jutro w krwi się skąpię może.
Ona wyżre — niemasz rady —
Pocałunków lubę ślady.

Do twych stóp się skłaniam jeszcze,
Jęk boleści tłumiąc w łonie.
Ach, ostatni raz te dreszcze
Czuję, pieszcząc kwiaty-dłonie.
Nim za chwilę wszystko minie,
Jeszcze w oczu twych głębinie
Raz ostatni duszą tonę...
Potem — każde w swoją stronę!

W przeznaczenia księdze stoi,
Żem twój — blizki, czy daleki.
Twój konterfekt w duszy mojej
Odmalowan już na wieki.
Lecz, choć kipi krew, jak lawa,
Gdy Ojczyzny woła sprawa,
Gdy potrzebne jej me ramię,
Ojców tarczy ja nie splamię!

Droga trudna i daleka,
Więc nie pora na frasunek.

Inny taniec już mnie czeka,
Może inny pocałunek...
Gdy się zatem dziś rozstajem,
Za te dni, co były rajem
W najpiękniejszej życia dobie,
Korne dzięki składam tobie.

Nizko skłaniam się w podzięce,
Wiernym zostać chcę niezłomnie!
Ach, raz jeszcze daj choć rękę!
Źle wspominać nie chcesz o mnie...
Już parskanie koni słyszę,
Już wsiadają towarzysze,
Mościa pani, bywaj zdrowa,
Niech cię Bóg od złego chowa!“

Rotmistrz konia już dosiada,
Poprowadzi panów braci,
A drużyna, z wodza rada,
Serce jego sercem płaci.
Białogłowy wyszły społem,
Ból nad każdej zawisł czołem,
Lecz wołają: „W bój, rycerze,
Niech was Bóg od złego strzeże!“

POŻEGNANIE PRZYJACIELA.

Ignacemu Chrzanowskiemu
w dniu Jego wyjazdu do Krakowa.

Na głębsze tonie, na szersze fale
Wypływasz z łodzią swą.
Nim pożegnalne zabrzmiał już *vale*,
Jeszcze serdeczne polskie „Szczęść Boże!“,
Jeszcze życzenia — ostatnie może —
Ku Tobie z serc się rwą.

Ze źródeł Piękna z Prawdy krynicy
Ożywczy nektar czerp
I w Jagiellonów starej stolicy,
W Idei gwiazdę złotą wpatrzony,
Siew rzucaj! Z niego obfite plony
Niech zbiera młodych sierp.

Ty ich przed nasze prowadź ołtarze,
Płomienie w duszach krzesz,
A kąpiąc serca w poezji czarze,
Z Adamem wskazuj: w czym wszystkich cele,
Z Juljuszem — jak to z prochów mściciele
Wstają krzywdzonych rzesz...

Na głębsze tonie, na szersze fale
Wypływa twoja łódź.
Ku nowym świtom żegluj wytrwale
I ku nim prowadź zastęp swój młody.
Lecz czasem jeszcze na dawne wody
Przyjaźnie oczy zwróć!

Znajdziesz wśród drogi nie same kwiaty,
Bez cierni niema róż!
Ale kto w przyjaźń ludzką bogaty,
Tego i ciernie mniej rażą pono,
A Ty zostawiasz tu druhów grono
I kilka bratnich dusz.

Na głębsze tonie, na szersze fale
Wypływasz z łodzią swą.
Nim pożegnalne zabrzmiał już *vale*,
Jeszcze serdeczne polskie „Szczęść Boże!“,
Jeszcze życzenia — ostatnie może —
Ku Tobie z serc się rwą...

NA OKŁADCE KSIĄŻKI.

Pani Janinie Miłobędzkiej.

Na czarnohorskim niebotycznym szczycie
I wśród kosowskiej mocodawczej głuszy
Kilka przemiłych chwil dało nam życie,
Energję, zapał wsączając do duszy.

Kreślił dzień każdy na pamięci płycie
Obrazy piękne, których czas nie skruszy.
Sama przyroda kazała w zachwycie
Oglądać czary, mieć oczy i uszy...

Więc zanim znowu do taczki żywota
Samum powszednich nawieje nam piasków,
Kilka melodji harfa wspomnień złota

I pamięć kilka przechowa obrazków.
Echo chwil paru, pełnych barw i tęczy,
Jak złota struna — z tych kart niech zadźwięczy...

JESIENNY WIATR.

Na wiolonczelach starych drzew
Sonatę wiatr wygrywa.
Chwilami cichnie jego śpiew,
To znów zawodzi, wyje, grzmi,
Skargami w górę strzela,
W zawarte niebios bije drzwi,
Opony chmur rozrywa,
Jak błędnych dusz kapela.

Ach, szalej, wicherze, bieś się, bieś,
Przeklinaj ziemi nędzę!
Jej bunt w przestwory światów nieś,
Przytłumiaj blaski słońc i tęcz
Potęgą bólu wściekłą.
Sumienie światów wszystkich dręcz,
Gwiazd targaj złotą przędzę,
Dopóki tu — trwa piekło!

FANTAZJA JESIENNA.

„Ach, co za rozkosz być kochanym
I kochać—Boże, co za raj!”

Z Goethego w przekł. J. Weysenhoffa.

Masz do mnie przyjść... Więc szybko chodzę
Po swym pokoju wszecz i wzdłuż,
A serce w piersiach pyta w trwodze,
Czy przyjdiesz tylko... Późno już!
Już chyba być powinnaś ze mną —
Tak pragną usta ust twych zaru...
Hej, światła jeszcze! Wciąż mi ciemno...
Zegar... Brak jeszcze minut paru...

Minuta każda — to wiek cały,
Czekanie — piekłem dzisiaj mi!
Pst! Co to? Wrota zaskrzypiały,
Zgrzytnęły domu mego drzwi!
Ach, nie! To wiatr w ogrodzie hula,
Ostatnie liście zdziera z drzewa...
Przysłała zima go — babuła.
Zagłady przezeń hymny śpiewa.

Przez okno patrzę. Po ogrodzie
 Włóczą się szare pasma mgły.
Nad stawem starą wierzbę bodzie
 Świerk napół zeschnięty, czy — sam „zły”.
Wśród mgieł i wichru lecą duchy,
 Gdzieś w zaświatowe lecą boje...
Niech lecą! Ślepym jest i głuchy,
 Byleś ty przyszła, szczęście moje!

Wybija zegar już godzinę...
 Po sercu smaga jego dźwięk...
Gęstnieją mgły za stawem sine,
 W sercu się czai dziwny lęk...
Ach, może ciebie z mgłami temi
 Fatalna jakaś siła pędzi
Gdzieś poza krańce martwej ziemi,
 Aż do nieznanych sfer krawędzi...

Możesz ty marą wyobraźni,
 A cudna miłość nasza — snem!
Ktoś rzekł, że *czekać* — z ziemskich kaźni
 Najgorszem, najstraszliwszem złem...
Tak, dziś to czuję sam na sobie,
 Jak dręczą serca uderzenia:
Przemija kwadrans!... W trumnie, w grobie
 Nadzieje moje, sny, rojenia!

I gdzieś za niemi w przepaść ciemną
Zapada udręczony duch.
Znów rozpacz we mnie i przedemną,
I życia zbrzydł bezmyślny ruch.
Jak liść bym chciał być... Liść — na ziemię
Z gałęzi martwej leci złoty,
Ale czuć przestał — śpi, czy drzemie,
Od bólu wolny i tęsknoty!...

Lecz co to!... Boże! Jasną tęczę,
Promieniem, zorzą wchodzisz już.
Ach, już przeczucia złe nie dręczą,
Ucichło w duszy — wycie burz.
Z tobą się jesień wiosną staje,
Być z tobą — to — po trzykroć raj!
Całować ciebie — raj nad raje!
Swe usta, usta boskie daj!...

Znów ze mną jesteś, znowuś moją!
Przez smutek przyszłaś martwych pól...
Nie cofaj ust swych! Ust, co koją
W rozdartem sercu żal i ból.
Niech znów nas uścisk boski splecie,
Niech znów pieśń szczęścia zabrzmie w nas!
Zapomnij, jak jest źle na świecie,
Zapomnij — choć na krótki czas!

Z KROPEL GORYCZY.

Nie ludź się próżno! Nie dla ciebie
Roztacza życie swoje czary.
Chmury się klębią na twem niebie
Widnokrąg twój oddawna szary,
Jeżeli słońce błysnie na niem
To — jak gromnica—przed skonaniem.

Nie ludź się próżno. Innym jeszcze
Da życie smugi złotych rojeń,
Promienny zapał, natchnień dreszcze,
Czary rozkoszy i upojeń,
Sny i pragnienia innych ziści,
Tobie da garść—jesiennych liści.

Nie ludź się próżno. Umiej dumnie
Iść dalej swą samotną drogą.
Podobny greckiej bądź kolumnie,
Której już szczęścia dać nie mogą
Wśród dni dzisiejszych smutnej ery
Zefirów tchnienia, morza szmery...

Nie łudź się próżno! Szczęścia chwile
Przeszły dla ciebie już na wieki...
Strzaskany marmur leży w pyle,
Czasem go dojdzie szmer daleki:
To na skalisty zrąb odludny
Dociera fali odgłos cudny.

Nie łudź się próżno. Bo ta fala
Już nie dla ciebie pieśń swą śpiewa.
Strzaskany marmur tęskni zdala,
Ona palmowe pieści drzewa,
Co niżej — na urwistym brzegu, —
Zazieleniły wśród jej biegu...

CHRYZANTEMY.

Marji.

Fioletowe, złote chryzantemy —
Kwiat jesienny posyłam ci w darze....
W jesień złotą już i my płyniemy,
Lecz o wiosny czarach jeszcze marzę.

Fioletowe, złote chryzantemy,
Cudnych wspomnień dalekie miraże...
W jesień złotą już i my płyniemy,
Widać dno w precudnej życia czarze.

Jesień już!... Lecz niech tę jesień naszą
Złote słońce blaskiem swym umili!
Niechaj życie swą cykuty czasą

Nie zatruwa każdej lepszej chwili...
Niech nam błyszczą poprzez mgieł tęsknotę
Marzeń cudnych chryzantemy złote!

Warszawa, wrzesień 1910 r.

PRZED ROKIEM.

...Więc przed rozstaniem niech jeszcze, mój Skarbie,
Po raz ostatni z ust Twych wyszę miód!
Nim duszę bólem i troską pogarbię,
Niech jej da chwilę szczęścia miłość - cud!
Zapomnij, że już jutro odejść muszę,
Że nas rozdzieli bezmiar gór i wód...
Niech znów miłością zakwitną nam dusze,
Niech — raz ostatni — jak bywało wprzód —
Znów się do siebie rozchylą miłośnie,
Jak róż kielichy, rozkochane w wiosnie.

Wiodłaś mnie z sobą, jak Anioł skrzydlaty,
Przez góry, morza, pod Cheopsa grób,
Jak brylant cudny na kraju mej szaty,
Jak kierownicza gwiazda moich stóp.
Dla Ciebie w greckich ogrodach zrywałem
Pomarańcz słodki, cytryn złoty łup,
A wśród zieleni marmur łonem białem
Błyskał, jak światła miesięcznego słup,
I gdzieś — daleko — w mgłę ginęły sinej
Fale, odbite od skał Salaminy.

Było nam dobrze razem — dni, tygodnie
W objęciach morza i w uściskach gór.
Czoła nam wiatry osmałyły wschodnie,
Dusze — błękitnych fal rozśpiewał chór.
Ach, jeszcze — zda się — w uszach gra mi fala,
W oczach korynckich kolumn stoi sznur, —
Jeszcze się w słońcu rumieńcem zapala
Nike, najmłodsza z peryklowych cór...
Wyżej — Partenon wzrok smutny, lecz dumny
Na potrzaskane swe rzuca kolumny.

Jeszcze się do nas uśmiecha zdaleka
Sfinks, u piramid stóp dzierżący straż,
Jeszcze — w girlandzie palm — potężna rzeka,
Skąpana w słońcu, wzrok zachwyca nasz...
Już od obrazów tych czarownych muszę
Na północ zwrócić pełną smutku twarz,
Zakrwawić serce i rozedrzeć duszę
Tym bólem, który i Ty w oczach masz...
Ach, w drogich oczach, które życia pyły
Na mym gościńcu, jak gwiazdy, złociły...

Heluan, willa Wanda,
w styczniu 1911 roku.

SYZYF.

I odeszłaś, i odeszłaś w ciszę,
W straszną ciszę zagadki grobowej.
Głosu Twego już tu nie usłyszę,
Nie przytulę już najdroższej głowy.

Jednak żyję, jednak żyć tu muszę,
Jak pień drzewa, przez piorun strzaskany.
Choć ten ból tak strasznie szarpie duszę,
Choć mam serce nakształt jednej rany.

Bez nadziei, bez nadziei płynę
W jakąś otchłań niezgłębioną, czarną.
Na mej duszy pustkę i ruinę
Ciągłe pada, pada bólu ziarno.

Na szerokim, na szerokim świecie
Nie mam teraz nikogo, nikogo.
Zycia brzemień coraz bardziej gniecie,
A Twe ręce już nie dopomogą.

Żadna gwiazda, żadna gwiazda złota
Nie rozjaśni ciemności ponurej.
A tu trzeba pchać kamień żywota,
Który stacza się co chwila zgóry.

A tu trzeba, niby Syzyf nowy,
Bezcelowo wyprężyć swe siły,
Chociaż dręczą tak życia okowy,
Chociaż nęci tak — spokój mogiły.

Styczeń 1912 r.

SEN.

Zjawiłaś mi się pierwszy raz,
Zjawiłaś mi się we śnie,
Co znów na chwilę złączył nas
I przerwał się — zbyt wcześnie.

Splynęłaś do mnie cudnym snem,
Wysnutym z ech młodości.
Przeminął sen, lecz w sercu mem
Jak wonne kwiecie gości.

Zamykam oczy... Sen się śni,
Młodości pachną kwiaty.
Napełnia duszę obraz wsi,
Gdziem z Tobą był przed laty.

Pokoje duże, stary dwór,
We dworze Ciotka stara,
W dwóch młodych duszach marzeń chór,
Przed niemi — życia czara.

Sosnowy lasek, droga, piach,
Grabowy szpaler w sadzie...
Na snach prześnionych, cudnych snach,
Patynę czas już kładzie.

Piaśczysta droga, kępy drzew,
Pilica fale toczy.
Z pobliskich pól dochodzi śpiew,
Rozmarza Twoje oczy.

Niekiedy w oczach błysnie łza,
A częściej — zapał młody.
Przed nami życie, co się zda
Zapraszać nas — na gody.

Przed nami życia czar i znój
Wśród barwnych marzeń tęczy.
Tyś moja wreszcie, jam już Twój,
Rozłąki ból nie dręczy.

O gody życia! Wyście już
Wspomnieniem, marą, echem!
Opadły listki z życia róż
Z ostatnim Twym oddechem.

O gody życia! Lata szły,
I nadszedł kres przedwcześnie.
Znów widzę Ciebie poprzez łzy,
Lecz widzę tylko — we śnie

Luty 1912 r.

XI

PRZY DŹWIĘKACH MARSZA CHOPINA.

Pamięci BOLESŁAWA ŁADNOWSKIEGO.

„Tyle dzwonów... Gdzie te dzwony?...“ Czy
[huczą w mej duszy?
Czemu dźwięk ich mego bólu nie koi, nie głuszy?
Czemu smutek skrzydła czarne roztoczył nad głową
I przemawia do mnie dziwną, przebolesną mową?

Zgasł Artysta, Muz kochanek, zgasł Szermierz
[o Piękno...
Nad mogiłą Jego Muzy zapłakane klęką,
Na ich głowy wiatr jesienny rzuci złotych liści...
Spokój wieczny—sen żywota—grób Mu wreszcie
[ziści.

Nad mogiłą klęczą Muzy zapłakane, w kirze,
„Spokój Tobie, nasz kochanku!“ słyhać w Muz
[tych śpiewie...
Spokój Tobie, nasz Hamlecie, Romeo, nasz Lirze,
Nasz Derwidzie, nasz Moorze, spokój Ci, Zbigniewiel

Po żywota ciężkim trudzie, po żywota męce,
Na sen cichy, na sen wieczny dziś kładziemy Ciebie.
Pod Twą głowę burz jesiennych blizkie, bratnie ręce
Złotych liści, miękkich liści podścielą w potrzebie.

Po ciernistym, ciężkim trudzie spoczywaj na wieki,
Na żywota bóle wszelkie w śnie tym znajdziesz leki,
Ale Duch Twój nad tą Ziemią niech krąży i czeka,
Aż przywoła go Rozświtu fanfara daleka...

* * *

Rozpierzchnęły się młodzieńcze,
Cudne, złote sny,
I uniesień pierwszych tęcze,
Pierwszych bólów łzy.

Rozsypał się, runął w gruzy
Czarodziejski gmach,
Nad gruzami stoją Muzy
W boleści i łzach.

Żyłeś pięknie, żyłeś dumnie,
O kochanku nasz!
Przy Twym grobie, przy Twej trumnie
Trzymać będziem straż.

Żyłeś cicho, do gwiazd stale
Kierując swój wzrok,
Aż zaśpiewał Ci swe vale
Nadmogilny mrok.

Aż zaśpiewał wiatr jesieni
 Pożegnalną pieśń...
Duch w krainę wraca cieni,
 Ciało — w grobu pleśń.

* * *

Trumnę Twoją, przystrojoną
 W kwiatów barwnych gaj,
Niesie zwolna druhów grono
 W tajemniczy kraj.

Barwne wieńce, wonne kwiaty,
 Muzyka i śpiew...
A przez liści złote szaty
 Przesącza się krew.

Wonne kwiaty, barwne wianki,
 Jakbyś szedł na ślub...
Ach, Ty idziesz do kochanki,
 A jej imię — grób.

Ideałów wierny sługo,
 Już odpływasz w dal...
Idziesz, płyniesz w podróż długą,
 Do Wieczności fal.

Uniosła Cię w świat nieznany
Tajemnicza mgła,
Bojownik nieskalany
I czysty, jak łza!

* * *

Płynie, płynie dźwięków fala, płynie gdzieś daleko,
Lecz powraca, by uderzyć w Twojej trumny wieko,
By zapukać raz ostatni pieśnią pożegnania
Przez ten pancerz, który w trumnie serce Twe osłania.

Pancerz mocny, twardy, zimny, pancerz niemy, głuchy,
Lecz przebija go melodji, pieśni bratniej duchy,
I raz jeszcze serce Twoje, które czuło tyle,
Poruszy się i zapłacze w tym mogilnym pyle.

I raz jeszcze serce Twoje, co mieściło bóle
Bohaterów wieszczów naszych rozrzewni się czule,
Pożegnalna łza współbraci przemówi do niego
I te proste, mocne słowa: „Żegnaj nam, kolego!”

— — — — —
A gdy Duch Twój po wędrówce w eterów przestworze
W inny kształt wcielony znowu na ziemi zagości,
Dla niej wtedy już zabłyszczą nowe, jasne zorze,
I na zawsze opromienią smutny byt Ludzkości.

A te liście, poplamione dzisiaj krwią Twych braci,
Zarumienią się purpurą, co wszystko zapłaci!..
Lecz tymczasem, Muz kochanku, odpoczywaj w grobie:
Bólem życia ten spoczynek wywalczyłeś sobie!

XII

PRZEKŁADY.

Z ALFREDA MUSSETA.

DO NINON.

Kto wie, co rzekłabyś, brunetko modrooka,
Gdybym ci wyznał wręcz, jak bardzo kocham cię...
W miłości—sama wiesz—tkwi boleść przegłęboka,
Grot bezlitosny tkwi, sama nań skarżysz się,
Lecz może za nią dziś chciałabyś karać mnie...

Gdybym powiedział ci: miesiące sześć milczenia—
Ileż mąk długich, pragnień niewymownych w tem.
Ninon dowcipna jest, ach i bez troski cienia
Zgadywać lubi tak, jak wróżka—od niechcienia...
Może odrzekłabyś mi tylko: „O tem wiem!”

Gdybym ci wyznał wręcz, że jakiś słodki szął
Do stóp mnie wiąże twych, uczynił cień twój
[ze mnie.
Wątpienia, melancholji uśmiech niedaremnie
W piękności twej, Ninon, nowymi blaski grał:
„Nie wierzę!”—rzekłabyś, łagodząc głos
[przyjemnie.

Gdybym ci rzekł, że w głębi duszy swej unoszę
Najsłabsze echa nawet wieczornych naszych słów.
Wejrzenie obrażone, surowe: „Bardzo proszę!“,
Gniewem by błysnął wzrok, gdzie lazur krył rozkosze,
Może wzbroniałabyś odwiedzić siebie znów.

Gdybym ci rzekł: „Co noc, gdy cicho tak dokoła,
Ja modlę się i płaczę, twój przeklinając chłód.
Ninon, gdy śmiejesz się, ty przecież wiesz, że
[pszczoła
Mogłaby wziąć za kwiat twych ust różanych cud...
Gdybym powiedział tak, zaśmiałałabyś się może!

Lecz się nie dowiesz nic. Powiedzieć—strzeż mnie,
[Boże!
Przychodzę sięść, pogwarzyć przy blasku lampy
[twej,
Słyszę twój głos, oddechem twoim się upoję...
Uśmiechasz się, zgadujesz... Nie dojrzą oczy twoje,
Czemu miałałabyś dziś być dla mnie słodką mniej.

W sekrecie zbieram kwiatów czarodziejskich plon...
Wieczorem tuż za tobą siedzę przy pianinie,
Wsłuchany w harmonijny rąk twych cudny ton,
To znów czuję, jak w walca przenamiętnym wirze
W objęciach mych się gniesz, podobna smukłej
[trzcinie.

A nocą, gdy w pokoju mego mrocznym kirze
Zamykam się, gdy świata rozdziela nas kłam,
Myśl moja tysiąc wspomnień zazdrosnych znów nize,
I samotny przed Bogiem otwieram, jak sknera,
Skarbiec serca, gdzie ciebie, ciebie pełno mam!

Kocham, lecz się do wyznań serce nie otwiera,
Kocham, a nie wie o tem świata podła złość.
Puchu mej tajemnicy drogiej nikt nie ściera,
I przysięgłem, że kochać bez nadziei muszę,
Ale nie bez radości: widzę cię—to dość!

Nie, nie przyszedłem na świat dla szczęścia bez miary.
By umrzeć w twych objęciach, by żyć u twoich nóg.
Wszak mówi o tem ból, przepelniający duszę...
Lecz gdybym, modrooka brunetko, pożary
Serca wyznał ci—cobyś rzekła—wie tylko Bóg!

Z ALEKSANDRA PUSZKINA.

Szalonych lat wesołość zgasła w życiu
Dziś cięży mi, jak niesmak po przepiciu.
Lecz, niby miód, ból stary — krzepki wróg —
Im dłużej trwa, tem pewniej zwala z nóg.
I trud, i ból na życia szlak wytrwale
Przyszłości mej burzliwe niosą fale.

Lecz umrzeć — nie! Chcę snuć żywota nić,
Chcę zostać tu, by myśleć, cierpieć, żyć!
I wiem — wśród trosk, i wzruszeń, i goryczy —
I słodszych chwil mnie jeszcze los użyczy.
Upoi mnie znów czasem pieśni czar,
Do rzewnych łez królestwo wzruszy mar,
I złotą tę zachodu mego zorzę
Uśmiechem swym pożegna miłość może...

Z MICHAŁA LERMONTOWA.

Samotny, biały żagiel błyszczący
Wśród lazurowej morza mgły.
O żaglu! czego szukasz w dali
I coś w ojczyźnie rzucił ty?

Igrają fale, wicher świszczce,
Jak trzcina, maszt się gnje wśród fal...
Ach, żagiel szczęścia już nie szuka
I nie przed szczęściem dąży w dal!

Pod nim lazury przezroczyście,
Nad nim słoneczny, złoty pył.
On w dumnym buncie szuka burzy,
Jakgdyby w burzach spokój był.

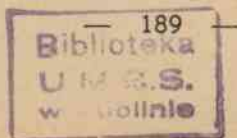
Z MIKOŁAJA NIEKRASOWA.

Świadkowie łez wylanych, wiersze moje,
Za świat wylanych łez!
Was rodzą duszy burze, niepokoje
I życia smutny bieg.
I tak o zimne serca uderzacie,
Jak fale o skalisty brzeg...

Z MAKSYMA GORKIEGO:

Omdlewa serce, ustają nogi,
A wyjścia brak...
O matko ziemio, wskaż ty ślad drogi,
Choć ty daj znak!

Na ziemię padam w strasznej rozterce,
Jak ścięty dąb.
I szept głęboki słyszy me serce:
„Wróć w moją głąb!”



SPIS RZECZY.

	str.
Preludjum	5

I. Z pieśni nowego życia.

Apostrofa	9
Do przyjaciół	10
Na Howerli	12
Na brzegu lasu	14
Przy leśnej drodze	15
Rycerze	17

II. Osolin w nocy.

Ruiny zamku	21
Na górze zamkowej	22
Aleja lipowa	23

III. Święto wiosny. 27

IV. Kartki z podróży.

Pożegnanie Warszawy	37
Przeczucie	39
W zatoce Neapolitańskiej	45
Fontanna Trevi	47
Przebiegam ciebie	49
W obliczu Sfinksa	51
Wracaj!	53

V. Z powrotem.

	str.
Preludjum	57
Echo dzieciństwa	58
List do Niej	61
Pożegnanie	63
Fale	65
W wagonie	66
Tchnienie ojczyście	68
Dobranoc!	70

VI. Latem.

O zachodzie	75
Cisza nocy	77
Świt	79
Południe	81
W srebrze miesiąca	83
Barkarola	85

VII. Echa burzy.

Naprzód!	89
Hold	91
Nowe życie	92

VIII. Za kratą.

W więziennej celi	97
Kwiaty	100

	str.
Vorrei morire . . .	103
Przed rozstaniem . .	106

IX. Listy.

Z nad brzegów Nilu	111
List z więzienia . . .	118
Ze wsi	127
Z miasta	132

X. Przeznaczenie.

Faun płaczący . . .	139
Kwiat szczęścia . . .	141
Los	143
Jeżeli kocham	145
Na łodzi	147
Kochanka moja	149
W mym pokoju	151
Pożegnanie	154
Polonez pożegnalny .	156

	str.
Pożegnanie przyjaciela	159
Na okładce książki .	161
Jesienny wiatr	162
Fantazja jesienna . . .	163
Z kropel goryczy . . .	166
Chryzantemy	168
Przed rokiem	169
Szyf	171
Sen	173

XI. Przy dźwiękach marsza Chopina.

XII. Przekłady 181

Do Ninon (z Musseta)	183
Z Aleksandra Puszkina	186
Z Michała Lermontowa	187
Z Mikołaja Niekrasowa	188
Z Maksyma Gorkiego	189

Vol. 8



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 11353



1000174396